Porfirjon Osiełek czyli Klub Świętokradców

Konstanty Ildefons Gałczyński

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

PORFIRJON OSIEŁEK

CZYLI KLUB ŚWIĘTOKRADCÓW

POWIEŚĆ

*

Pan Różdżka byłby przespał — jak zwykle — całe popołudnie za kontuarem składu instrumentów, gdyby mosiężny dzwonek nie zarechotał i do ciemnego sklepu nie wepchnął swojego brzucha Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff, właściciel fabryki sztucznych nosów i noktambulik. Porfirjon Osiełek rozejrzał się po sklepie z utajoną pogardą, poprawił błękitny półkoszulek, jeden z tych półkoszulków, na które przykleja się kartkę z napisem „kompozycja szwedzka", potem bardzo wolno pogłaskał się po obu udach i — nadając obliczu wyraz jak najbardziej okrągły i śpiewny — zaczął:

— Właściwie, mój panie Różdżka, powinienem pana zadenuncjować policji za fałszowanie włoskich skrzypiec, ale pana nie zadenuncjuję, bo jestem człowiek dobry i sam na sumieniu mam to i owo. Przyszedłem do pana kupić trąbkę, którą nazywają helikonem; trąbka, o której wspomniałem, jest mosiężna, ma głos wysoki i cenę niską.

— Co to to nie, śliczny panie Osiełek — chrapnął Różdżka, który zazwyczaj budził się na wzmiankę o cenie. — Trąbka gra ani wysoko ani nisko, a kosztuje słono.

I tu pan Różdżka wyciągnął z pod śpiącego na nim kota cennik, skomplikowaną symbjozę zzieleniałych od wilgoci kart, nad któremi pochylając się, odchrząknął niemal ze złością: — Helikon Nr. 4, 150 sestercyj, można dodać pachnące mydełko; i głośno do kota, wpychając mu w brzuch palec wskazujący:

— Myrmidon, przynieś Helikon Nr. 4 i mydełko pachnące olibanem.

Kot wydał we wnętrzu swego brzucha ton bardzo skomplikowany, poczem ciemna, wilgotna atmosfera składu napełniła się nie tyle zapachem olibanu, ile kunsztowną wonią sardynek strawionych z nonszalancją; i Myrmidon zniknął w otchłani dalszych pokojów pana Różdżki. A ten rzecze do Porfirjona Osiełka false Hilarjona Gaffa:

— Niech pan będzie spokojny, śliczny panie Osiełek, mogę pana poczęstować rosołem. Widzi pan, mój Myrmidon to jest kreatura bardzo powolna, głęboko myśląca i dlatego może wrócić z helikonem za pięć minut, albo jutro; kto go tam wie, dlaczego taki niemrawy? Jabym panu sam trąbkę przyniósł, ale (tu tłumi głos pan Różdżka; w składzie robi się jeszcze ciszej; tylko brzękną czasami struny wiolonczel) ja się tam boję wejść.

— Gdzie tam? — zaśpiewał Porfirjon Osiełek.

— A tam. — I Różdżka przerażonym palcem wskazał na drzwi wpółotwarte.

— Śmiszny jest pan człowiek i neurastenik w dodatku —

dźwięknął Osiełek.

Teraz drzwi uchyliły się, tak cicho, jakby je kot odemknął i Myrmidon przyniósł w zębach Helikon Nr. 4 i mydełko z zapachem olibanu.

— A co to jest? — spytał Osiełek.

— A helikon jak pan widzi.

— Aaa — helikon, zaraz panu zapłacę.

Po zapłaceniu rachunku Porfirjon Osiełek przykrył delikatnie głowę zielonym melonikiem i — otworzywszy drzwi kopnięciem — wyszedł na ulicę, podskakując. Pan Różdżka zasnął, kot znowu dostał torsji.

Od składu instrumentów padał na chodnik bezkształtny, wilgotny cień.

*

Na rogu ulicy Szarlatanów, wsparty o złoto-czerwony szyld restauracyjny, gdzie napisane było wołowemi literami „Obiad z rybą i pieczywem 8 sestercyj”, żebrak zwany Łagodnym uderzył Porfirjona Osiełka w ramię i oświadczył spokojnie:

— Mógłbyś mnie wspomóc, stary kondlu.

Osiełek lewem okiem zlustrował żebraka, wyjął z kieszeni helikon i, pośpiesznie przyłożywszy go do ucha ubogiego człowieka, zagrał tak forte, że ubogi człowiek zemdlał natychmiast. Poczem otarł dokładnie instrument i schował pod melonikiem. Kupił na rynku cztery pomarańcze i — podnosząc kołnierz — wpadł do bramy domu schadzek, gdzie, niewidziany przez nikogo, spożywał zwykle swoją porcję owoców. I byłby je spożył w skupieniu, w nastroju jak należy modlitewnym, gdyby… A było to właściwie nic, niby kot, niby nie kot (czyżby Myrmidon?), pachniało niewiadomo czem, chód miało elastyczny jak materac — jednem słowem kobieta.

Tak, najrzeczywiściej, w całem tego słowa znaczeniu kobieta przeszła obok Porfirjona Osiełka i gdy już pochylała się, aby przekroczyć metalowy próg bramy, Osiełek wrzasnął „Hallo!”

Pani obejrzała się, nerwowo upuszczając torebkę.

I teraz Osiełek ujrzał, jako była przyjemna oczom: Piersi miała ciężkie, rozrosłe, jakby pełne słodkiego mleka, a jednak dałby słowo, że dziewicze; ramiona szerokie, brzuch sprężysty i krągły. Oczy cokolwiek skośne popatrzyły na Osiełka ze zdziwieniem i znikły.

Ale Porfirjon zjadł ostatnią pomarańczę i, oblizując się spokojnie, rzekł w głębi swego jestestwa po łacinie: — Aut mea, aut nulla; i pobiegł za nieznajomą, krzycząc „hallo”. Dopędził ją i wyprzedził. Skłonił się i kładąc rękę na sercu:

— Pozwoli pani, że się przedstawię, jestem Porfirjon Osiełek,

false Hilarjon Gaff, fabrykant sztucznych nosów i noktambulik. Pani cofnęła się i rzekła wedle zwyczaju:

— Pan jest impertynent.

— Ależ nie jestem impertynent, proszę panią, jestem śliczny pan Osiełek, gdyby pani…

— Pan jest cynik!

— O pani, gdyby pani…

— Pan jest zbój!

— O pani, ja panią tak…

— Precz, bo zawołam konstabla!!

Ale tu Porfirjon upadł z hukiem na kolana przed swoją *belle-inconnue* i zaczął łkać „tak głośno". Pani wzruszyła się i byłaby zdjęła z głowy swego wielbiciela zielony melonik i mosiężny helikon, byłaby pieściła tak bujne włosy pana Osiełka, gdyby nie konny policjant, który przy akompanjamencie wrzasków i gwizdów całej ulicy zjawił się w całym przepychu błyszczących guzików i obwieścił:

— W Imieniu Jego Królewskiej Mości, prawa i t. d. aresztuję was za miłość na ulicy.

Natychmiast zajechało ciężarowe auto i niewinni zostali deportowani do więzienia. Ze złośliwem zadowoleniem patrzył na to żebrak zwany Łagodnym, strosząc ciężkie, rude brwi.

*

I pana Porfirjona Osiełka, ślicznego pana Osiełka zamknięto w strasznem więzieniu. Piszący te słowa, gdyby nie był człowiekiem na miarę Juljusza Cezara, rozpłakałby się rzewnemi łzami, oblicza swego togą nie zasłaniając.

Uwięziono Osiełka razem z jego kulistym brzuszkiem, zielonym melonikiem i helikonem, który, jak wiadomo, spoczywał pod zielonym melonikiem, a na bujnych włosach ofiary miłości; partnerkę zamknięto w oddzielnej celi, w słusznej trwodze o moralność.

Wieczorem, jak zwykle, Osiełek, który był człowiekiem zasad, wyjął z kieszeni płaszcza egzemplarz Apokalipsy i pogrążył się w lekturze. Odmawiał pokarmu, trzymał się twardo — bohater.

O godzinie ósmej drzwi się otwarły i stanął w nich wsparty na mieczu strażnik, człowiek o czarnej brodzie i niedobrych oczach.

— Za mną! — wyrzekł strażnik; tylko te dwa słowa, ale każde z nich było jak cięcie miecza.

— Oho! — szepnął Osiełek — teraz mnie zarżną.

Szli przez długie korytarze, drżące od mroku, który wieszał się po ścianach jak nieprzyjemna, powikłana pajęczyna.

Wreszcie otworzyły się żelazne drzwi i Osiełka wepchnięto do sali tortur.

— Czy to ten? — ktoś zapytał.

Ten ktoś był to szef policji ubrany w purpurowy uniform, kończący się u góry malutką, łysą głową.

— Czy to ten?

I szef policji wyciągnął w stronę Osiełka długi, kościsty palec.

— Tak, to ten — odskandowało chórem dwunastu policjantów. Przy świetle gazu sto dwadzieścia guzików błysnęło groźnie. Za uchem szefa tkwiło pióro tak długie, jak jego wskazujący palec. Osiełkowi zdawało się, że stalówka przebija mu serce nawylot i brudny, trujący atrament rozpływa się po wszystkich arterjach.

— A, to pan? — mówił trującym głosem główny policjant. — Proszę, niech pan siada, — nie! raczej niech pan stoi, zbadamy pana.

Łysa główka kiwa się szybko; gazowe światło rozlewa się na niej jak piperment.

— Nazwisko?

— Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff.

— Aha… false… śliczne nazwisko.

— Ależ, panie szefie!

— Proszę się nie tłumaczyć, jestem sangwiniczny.

— Ależ, panie szefie, ja się tak nazywam od urodzenia.

— Tem gorzej dla pana, jesteś pan sfałszowany w łonie matki. Sekretarzu, pisać! Dopiero teraz zauważył Osiełek maleńkie żyjątko, przyrosłe jak drzewny grzyb do biurka, żyjątko w wysokim sztywnym kołnierzyku, w surducie staromodnym, pochylone wielkiemi, zapłakanemi oczami nad wielką, okrutną księgą.

— Wyznanie?

— Wierzę w anioła imieniem Ezrafel.

— Znaki szczególne?

Tu światło gazowe poróżowiało, tak bowiem ogniście zapłonął pan Osiełek na myśl, że będzie musiał unaocznić swoje lędźwie, na jednej z których hodował rzewną brodawkę wielkości gołębiego jaja.

Ale nie kazano mu się rozbierać i brodawka pozostała słodką tajemnicą pana Osiełka.

— A teraz niech pan zdejmie melonik.

Osiełek zdjął zielony kapelusz jak najdelikatniej i w tej chwili trąbka ześliznęła się jak wąż miedziany i padła na podłogę metalową arją.

— A co to?

Zakołysało się pióro szefa z oburzenia, sekretarz zrobił kleks, błysnęło sto dwadzieścia guzików.

— To nic, panie dyrektorze, to helikon.

— Nieprawda! to jest maszyna piekielna; mój panie, pan jest anarchistą. Sekretarzu, zapisz: anarchista z maszyną piekielną imieniem helikon.

— Ależ, panie szefie, jestem…

— Proszę się nie tłumaczyć! Dlaczego pan uprawia miłość na ulicy?

— O, panie szefie, ona była tak piękna.

— Tak, tak, a czy pan nie wie, że w naszem państwie takie sceny są niedopuszczalne, czy pan zdaje sobie sprawę, jak to zabójczo wpływa na dzieci, na dziewice i na młodzież w wieku szkolnym.

— O, panie szefie, miłość moja była niewinną, jest niewinną i będzie niewinną!

W tej chwili jednak szef policji zeskoczył ze swego podium z taką siłą, że pióro wypadło mu z za ucha, osiadając stalówką w głowie sekretarza, który wyjął je, spróbował, czy dobrze pisze i położył na kałamarzu. Wprowadzono do sali tortur kobietę, partnerkę pana Osiełka. I właśnie ku tej niewieście rzucił się szef policji, wywijając rękoma i kołysząc łysą główką; przypadł do rąk i zaczął je całować nader namiętnie. Była to jego prawna, niezaprzeczonej własności kochanka.

— O łotry! jak mogliście aresztować tę damę, jak śmieliście uwięzić moją Filomelę!

Wyprężyło się dwunastu policjantów i zbladło. Na mundurze sierżanta, zachwiały się, zadzwoniły dwa guziki i upadły zawstydzone na podłogę. Sala tortur zamieniła się w piekło: grzmiał i wrzeszczał szef policji, całując naprzemian dłonie kobiety i zalewając się krwią.

A ona, Filomela, ofiara litości tkliwej godna, gołębica o piersiach anielskich, stała bezmowna i cicha.

Pan Osiełek pogłaskał się po udach, potem rozejrzał się dyskretnie naokół i podniósł trąbkę.

— Jest pan zwolniony za kaucją.

Porfirjon wyjął safjanowy portfel, powąchał skórkę, uśmiechnął się i położył na stole pięćset fałszywych sestercyj; poczem wyszedł krokiem elastycznym, grając na helikonie.

*

Na ulicy Szarlatanów rozpłakał się pan Osiełek i poszedł utopić helikon w Studni Neptuna.

Pochylił się żałośnie nad ocembrowaniem, ucałował mosiężną trąbkę i cisnął: Chlupnęło, czarna woda zazłociła się cicho i umilkła.

Poczem pan Osiełek usiadł na zielonej ławce i — esteta głęboki — począł przyglądać się Studni.

Studnia tworzyła rodzaj basenu, w którym pluskały się Nerejdy marmurowe o różowych pępkach, tłustych policzkach i piersiach pełnych gęstej nabrzmiałości. Niektóre z nich spoczywały sennie na cielskach Delfinów, tryskających płynem srebrnym, inne wtulały wargi

w usta Trytonów. A wyżej, na konsze ogromnej siedziała para królewska: brodaty Neptun w złotej koronie, obłapiający Amfitrytę. Pan Osiełek rozweselił się cokolwiek. Cieszył się, że Amfitryta rozchyla powoli uda szerokie i ciężkie, że Neptun ma przepisowy Trójząb i muskularną klatkę piersiową.

Podziwiał tedy w cichości parę bogów i rumaki morskie, rżące wyrzuconemi w górę mordami; i zdawało mu się, że zady koni morskich są szklane: bo nurzały się w wodzie zielonej i czystej.

Pan Osiełek — esteta głęboki i słodki — powstał z ławki i, pochylając się nad ocembrowaniem, pomacał wskazującym palcem koniuszek piersi Nerejdy pewnej, poczem ucałował palce i oblizał. Miało to smak dobrego mazagranu, zaprawnego doskonałym arakiem, gdy go się pije w kawiarnianym ogródku pełnym kwitnących jabłoni i słońca.

I nasz bohater był „fort console”, jak to się mówi w kwiatkach świętego Franciszka…

I rzekł Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff w głębokościach swojego jestestwa:

— Pójdę a zwymyślam śpiącego drania, sprzedawcę fatalnych instrumentów pana Bogumiła Różdżkę.

Byłby poszedł i zwymyślał, byłby potłukł mu wiolonczele i zatłukł na śmierć Myrmidona, gdyby jego uwagi nie zwrócił osobliwy pochód, przeciągający ulicą Szarlatanów w stronę Placu Kuglarzy.

Miarowym krokiem, kołysząc plecami, maszerowali jeden za drugim chłopcy w uniformach z zielonego grubego sukna, na których jako kwiaty na łące wykwitały rzędy jaśniejących mosiężnych guzików; mieli żółte czapeczki boy’ów hotelowych z daszkami śliskiemi od czarnego lakieru. Unosili się na piętach, prężąc wypukłe, muskularne golenie.

Ale na chłopców pan Osiełek nie patrzał; oddawał się wyłącznie osłupieniu na widok transparentów, pochylających się rytmicznie na żółtych drążkach; czytał napisy i nic nie mógł zrozumieć!

Na krochmalonym perkalu transparentów kołysał się i furgał następujący napis: „Jeśli ci życie miłe — ucz się brzuchomówstwa! Astrolog Wulkan. Plac Kuglarzy 7”. Na końcu i na początku napisu podrygiwały wykrzykniki sprężyste i milczące.

Pan Osiełek stanął na ławce, zapisał w notesie „Życie jest miłe — uczmy się brzuchomówstwa” i poszedł na Plac Kuglarzy. Odnalazł dom Nr. 7 i zapytał portjera:

— Czy tu mieszka pan Wulkan, astrolog?

Portjer, niegolony od urodzenia dziwoląg, popatrzył na Osiełka podejrzliwie i rzekł, podciągając spodnie: — Tak, tu, III piętro, mocno stukać.

Osiełek skłonił się uprzejmie i utonął w ciemnościach

frontowego wejścia.

Powietrze było wilgotne i pachniało smażonemi śledziami. Na pierwszem piętrze nad oknem zobaczył namalowaną sowę, a pod nią napis w języku greckim. Obejrzał się, czy nikt nie idzie i czarnym ołówkiem napisał na ścianie słowo bardzo nieprzyzwoite; przeczytał, z zacięciem postawił kropkę, poczem zadowolony, uśmiechając się końcami warg, pobiegł na trzecie piętro. Wszedł do korytarza i miał wrażenie, że sypnięto mu w oczy piaskiem: tak było ciemno. Odnalazł drzwi, zapalił woskową zapałkę. Na drzwiach zaślinionych wilgocią zwieszał się bezwładnie bilet wizytowy, a na bilecie rozkładały się jak małe trupki litery, z których po studjach półgodzinnych pan Osiełek odczytał wiadomość takiej treści: Hieronim Wulkan, dyplomowany astrolog-akuszer i jatrochemik. Otwarty całą noc.

Osiełek obejrzał drzwi bardzo dokładnie, pogładził się po udach i delikatnie uderzył w klamkę. Ale bez skutku. Uderzył drugi raz trochę mocniej, obiecując sobie za trzecim razem uderzyć pięścią, a za czwartym — kolanem. Milczenie. Wobec tego wyjął Apokalipsę, odczytał pewien rozdział, uśmiechnął się nader łagodnie i uderzył we drzwi brzuchem. Milczenie. Drzwi stały nieme, wyzywająco spokojne, płaskie.

Osiełek odwrócił się tyłem i walnął pośladkiem tak silnie, że tynk na suficie zaskrzeczał i osypał mu się na koniec nosa; ale nic nie pomogło: drzwi twarde jak brama trojańska szczerzyły pożółkłą, bezczelną klamkę.

Pan Osiełek był zrozpaczony i płakał. Po kwadransie płaczu drzwi wreszcie otworzyły się i Porfirjon ujrzał czarne, wąziutkie, podobne do grubej laski plecy astrologa Wulkana. Astrolog stał przy oknie, odwrócony ku Osiełkowi tyłem i z niesłychanem zajęciem śledził przechadzkę wielkiej muchy, brzęczącej na szybie; było to obrzydliwe muszysko, jedno z tych, które chłopcy zabijają ze specjalną przyjemnością. Osiełek stanął na progu i kładąc rękę na sercu:

— Jestem śliczny pan Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff, pragnąłbym poświęcić się brzuchomówstwu.

Tu astrolog Wulkan rozgniótł złotawy odwłok muchy, zakołysał się, zachybotał i podskoczył ku przybyłemu.

Ubrany był w zieloną dalmatykę, na której kłębiły się, wyszywane złotą nicią, zwierzęta mitologiczne i winogrona. Nieomal przytknął bladą, jajkowatą twarz, nad którą podrygiwały czarne, trzepocące brwi, ku twarzy Osiełka i szepnął:

— Aa, pan Osiełek, bardzo jestem rad, czytaliśmy o panu, tak, tak, bardzo się cieszę.

I szeptał coś astrolog Wulkan, szeleściła jak szept zielona mora dalmatyki.

— Jakim sposobem czytał pan o mnie?

— Ach, panie, czytałem: awantura z kochanką szefa policji, grał pan na helikonie, kot Myrmidon, zaspany drań Różdżka, Studnia Neptuna, pomarańcze, aforyzm o kobiecie i jeszcze tyle, tyle różnych rzeczy.

— To pan o wszystkiem wie?

— No jakto? oczywiście wiemy o wszystkiem.

Tu astrolog rozszerzył oczy żółte i szklane, do złudzenia przypominające oczy malowanej sowy; zatrzepotały brwi, zatańczyły, rozlatały się ciemne, nerwowe powieki.

— Pan dużo czyta? — pyta Osiełek.

— Tylko Homera.

— Tylko Homera?

— Tak, panie Osiełek — ale widzi pan: to zawsze inna książka: karty Homera o świcie są cynowe, o zmierzchu niebieskie, wieczorem złote… tak, panie Osiełek.

— Proszę pana, ja właściwie mam do pana kilka spraw: Panie Wulkan, niech pan będzie szczery i odpowie mi szczerze na pytanie: czy znajomość brzuchomówstwa może zapewnić spokojną starość? drogi panie, mówiąc otwarcie, mimo mojej fabryki i stosunków nie jestem człowiekiem zamożnym, a rozumie pan, że na starość chciałoby się mieć domeczek, ogródeczek, pantofle i ciepły brzuszek wiernej małżonki. O tak, panie Wulkan.

— Panie Osiełkiewicz, przyznam się panu, że brzuchomówstwo to blaga i ja to blaga i Homer. Najlepiej fabrykować fałszywe monety.

— Tak?

— No naturalnie.

Nagle za drzwiami huknęło, jakby komuś brzuch pęknął, drzwi się otwarły i do pokoju wbiegła starsza pani o rozpalonych wścieklizną oczach, w peruce, podobna w swojej furji do suki rasy nieokreślonej, którą osa ugryzła w przyrodzenie.

— Mam cię, draniu — wybełkotała pod adresem Osiełka — Panie Wulkan, to jest bandyta, on moją córkę zniewolił moralnie, splugawił, zbezcześcił, zdeprawował, zzz…

Starsza pani rzęzi.

Wulkan: Ależ co się stało, kochana pani Heksenszus?

— Jakto co? Pan wie, co zrobił pański klijent? ha! pan nie wie, a ja wiem; mam tu zapisane na karteczce; wszystko widziałam… panie, takie słowo pod sową o!

Wulkan: Proszę się uspokoić. Mogę panią zamagnetyzować magnetyzmem zwierzęcym.

— Precz, szarlatanie, ten człowiek napisał na murze nieprzyzwoite słowo, ha! ale jakie! mam tu zapisane na karteczce; moja córka, czysta jak lilja (panie, co to za dziewczę!) przeczytała to słowo i nauczyła się na pamięć. Panie Wulkan, ja tego łotra

zamorduję!… takie słowo! Cóż pozostało teraz po córce mojej? nic, grudka popiołu, tak albowiem spłonęło dziewictwo. O ja nieszczęśliwa!

I starsza pani załamała ręce i zamarła w klasycznej posturze bólu.

Astrolog Wulkan pocieszał cierpiącą niewiastę, podstawiał pod nos trzeźwiące sole; ale wszystko nadarmo: Heksenszus zemdlała i, leżąc na podłodze jak długa, robiła piersiami i brzuchem wypukłym nad wyraz.

Po pewnym czasie z cielska, zaścielającego podłogę, wyszedł głos cichy jak Anhelli: — Jeżeli ten łotr nie ożeni się z moją córką, to nie będzie dżentelmenem. Tak!

Ale tu podniósł się Porfirjon Osiełek, pogłaskał w uda wedle zwyczaju i, rozczapierzając dłoń na piersi jak najuroczyściej:

— Co to, to nie, proszę panią, jestem, byłem i będę dżentelmenem. Ożenię się z pani córką, choćby była zezowata. Amen.

Teraz pani Heksenszus z lekkością rzuconego połcia słoniny podniosła się z podłogi i rzekła:

— Pan jest człowiek zasad, wiedziałam; takie słowa mogą pisać tylko ludzie z zasadami. Panie, jestem wdową, a mój mąż był królewskim nadwornym wypychaczem ptaków.

— Jam jest Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff, fabrykant sztucznych nosów i noktambulik — zaśpiewał Osiełek i uniósł się na palcach dla dodania sobie majestatu.

Piękna to była scena: Stali naprzeciw siebie Osiełek i Heksenszus: on, dostojeństwa pełen, jaśniejący bohaterstwem dokonanego czynu, okrągły, wyniosły, dworsko wachlujący się zielonym melonikiem; ona, asekurowana „na córkę”, niemal rzewna, pozwalająca nieznacznie prześwitywać brudnym majtkom poprzez czarny, tragiczny jedwab sukni.

A pomiędzy niemi, dyszący zielonym oparem, który bił od zieleni dalmatyki, unosił się astrolog Wulkan, osłupiały, i trzepotał, trzepotał brwiami.

Troje ludzi zamarło, skamieniało w powadze chwili.

Wreszcie odezwała się pani Heksenszus:

— Panie Osiełek, byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby pan zechciał jutro spożyć z nami skromny obiad; czy pan lubi sztukamięs?

— Tak — odparł Osiełek w zachwycie i głasnął się po udach.

*

Pan Osiełek lubił się ubierać powoli, pan Porfirjon Osiełek był roskosznikiem, jakby rzekł homileta. Gotowalnię miał urządzoną hygienicznie a z komfortem. Dębowa lustrzana szafa stała przy jednej

ścianie i właśnie przed zwierciadłem delektował się sobą śliczny, nieoceniony pan Osiełek.

Kalesony włożył świeże, śnieżne, ufarbkowane z finezją, fałdujące jak toga patrycjusza, związane ztyłu różową tasiemką.

Po chwili jednak, uśmiechając się do siebie, zdjął jedną nogawkę i zaczął się głaskać i szczypać w udo przeciągle i bezbożnie; poczem, patrząc na doskonałe uwłosienie goleni, oddał się marzeniom; ale niezadługo powrócił do rzeczywistości: Dyskretnie uniósł koszulę i począł medytować nad wdziękiem swojej brodawki. Dziwna to była brodawka, a wielka i piękna jak jajo gołębie. Rosły na niej filuterne rude włoski, ukarbowane dobrą dłonią przyrody, wijące się niczem krzewy dziewicze i nader fantastyczne. Pan Osiełek dotknął palcem brodawki, potem ją ucałował i rozrzewnił się, bardzo, bardzo szczęśliwy. Następnie naciągnął nogawkę i, pochyliwszy się, zawiązał tasiemkę na łydce.

— Trochę pudru nie zawadzi — pomyślał pan Osiełek; ujął w pulchne palce puszek do pudru i upudrował sobie stopy, patrząc z rozrzewnieniem na duży palec.

— Mój maleńki, mój ty babyrussa — szepnął pod adresem dużego palca, poruszał nim chwileczkę i zdjął koszulę; ale zaraz naciągnął zpowrotem, podszedł do okna i spuścił roletę. Teraz dopiero zaczął uprawiać orgję:

Nagi do pasa podskakiwał na palcach, głaskał piersi, brzuszek bialutki i kulisty, pudrował się pod pachami i śpiewał najsłodszym dyszkantem. Potem zupełnie nagi wszedł do wanny z gorącą wodą i zasnął. Po przebudzeniu głaskał się i pieścił pod wodą, nalewał sobie wody do pępka przez lejek emaljowany, pryskał, strzykał i klepał się w oba pośladki. Po godzinie wyszedł z wanny różowy, ociężały, senny i postanowił się ogolić. Ustawił fotel przed zwierciadłem, włożył robdyszan z pieściwej flaneli, na którym były wymalowane aniołki o policzkach tłustych, jakby pełnych wody, i począł rozrabiać mydło. Rozpuszczał je zawsze wodą gorącą, bo lubił, gdy w policzki robi się ciepło, rzewnie.

— Właściwe, gorące, wonne mydło, rozsmarowane na policzku daje taką samą przyjemność jak pocałunek — powiedział głośno pan Osiełek i zaczął się pendzlować. Nagle rzucił pendzel, podbiegł do wanny i jął szybko zmywać rozsmarowaną pianę: Pan Osiełek albowiem nie lubił nieprzyjemnych wspomnień, a mydło pachniało olibanem, zaspanym draniem Różdżką i jeszcze czemś, czego sobie nie mógł przypomnieć. Wyjął tedy z szuflady nowe mydełko, rozrobił, nasmarował policzki i pogrążył się w zadumę.

— Właściwie, mój Osiełek — mówił do swego refleksu w zwierciadle pan O. — jesteś człowiek szczęśliwy: fabryka idzie, a nieszczęścia spadłe na ciebie nie są tak znowu straszne.

I tu pan Osiełek zaczął się golić; golił się brzytwą, ponieważ do wszelkich innych metod czuł nieprzezwyciężony wstręt — zresztą był miłośnikiem tradycji.

Brzytwa maszerowała po policzkach z gracją, z dezynwolturą, z przemiłym skrzekiem, przypominającym plucie przez zęby; policzki pana Osiełka stawały się gładkie, lśniące i chłodne w dotknięciu. Kiedy wreszcie ujrzał, jako był dokładnie ogolony i śliski na gębie, poczuł w sobie tyle szczęścia, tyle zachwytu, że omal się nie rozpłakał; ale nie uczynił tego: pan Osiełek był człowiekiem silnym; ucałował tylko brzytwę w rękojeść i schował do czerwonego pudełeczka; potem się upudrował, skropił włosy wodą kolońską, od której powietrze stało się chłodne i wiosenne, zdjął robdyszan, wśliznął koszulę i kalesony, koszulę opancerzył błękitnym półkoszulkiem z doskonałej gumy, puknął w półkoszulek wskazującym palcem i zaczął naciągać spodnie. Spodnie były bronzowe, koloru smacznej czekolady, niedawno prasowane, pachnące jeszcze rozgrzanym metalem żelazka.

Pan Osiełek strzepnął białą nitkę w okolicy rozporka, zapiął spodnie i nałożył szelki elastyczne, doskonałe; poczem jął plondrować w kieszeniach i dzwonić drobnemi pieniędzmi; zaszeleściło coś w prawej, jakby papierek od zjedzonej czekolady. Wyjął to „coś": kartka; przeczytał: „Dziś o 5 wieczorem czekam na pana, panie Osiełek, na placu Kuglarzy, wpobliżu teatru marjonetek". Podpisu nie było. Zdziwił się pan Osiełek i zaniepokoił; zapiął szelki, ale już nie były doskonałe, spojrzał na spodnie i miały barwę gorzkiej czekolady.

Co to znaczy? Przeszedł się parę razy od zwierciadła do wanny i od wanny do zwierciadła, ale nic nie mógł zrozumieć. Stanął przed lustrem i wydało mu się, że zbladł.

— To nic, to puder.

Otarł puder, nic nie pomogło — był niezaprzeczalnie blady. Wreszcie zbladł zupełnie, oczy powiększyły się, ręce zaczęły drżeć. — Rozumiem! To agent policji tajnej — wrzasnął pan Osiełek, spuścił drugą roletę i zamknął drzwi na klucz. Siadł na fotelu, posmarował skronie wodą kolońską. To go trochę orzeźwiło.

— Myślmy rozsądnie, mój Osiełek. Mogą to być fałszywe sestercje, któremi zapłaciłeś kaucję w gabinecie szefa policji, a mogą i nie być; jeżeli tak — to cię powieszą, jeżeli nie, to cię nie powieszą i będziesz nadal śliczny i nieoceniony. To jednak nie przeszkadza ci zjeść obiadu u miłej wdowy Heksenszus; w niczem ci nie przeszkadza.

I mężny pan Osiełek schował tajemniczą kartkę do safjanowego portfela, włożył kamizelkę, marynarkę i nowe trzewiki. Następnie owinął szyję kołnierzykiem, miękkim, niekrępującym, zawiązał krawat i przykrył głowę zielonym melonikiem; poczem, wywijając bambusową laseczką, wyszedł na miasto.

*

W przeciągu kwadransa był na placu Kuglarzy i za chwilę dzwonił do mieszkania wdowy Heksenszus. Biegnąc po schodach, zauważył, że nieprzyzwoity wyraz był do połowy zatarty, co mu dodawało tajemniczej soczystości, a obok świszczały, białą kredą nagryzmolone słowa: „Osiełek świnia”. Gdyby pan Porfirjon był człowiekiem naiwnym, napisałby na ścianie: „Ten, kto to napisał sam świnia”, ale pan Porfirjon nie uczynił tego, bo rozumiał wielką słodycz popularności.

Drzwi się otwarły i Osiełek stanął oko w oko z drabem, wysokości dwóch panów Osiełków, który miał podbite oko i trzymał nóż w ogromnej ciężkiej dłoni. Porfirjon skłonił się i w tonie informacyjnym:

— Czy pan szanowny jest mordercą?

— Niby dlaczego?

— No, niby nóż.

— Iii, panie, jestem służącym; właśnie kraje szynkę na przekąskę.

Osiełek poklepał protekcjonalnie draba po ramieniu i rzekł, wypuczając brzuch jak najplastyczniej: — Zaanonsujcież mnie, mój człowieku: Śliczny pan Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff.

Drab łysnął nożem i za chwilę ryknął w salonie z mocą stu antycznych nomenklatorów.

Osiełek usłyszał przeciągłe „Aaaa” i wszedł elastycznie, głaszcząc włosy.

Przy stole nakrytym żółtym pluszem siedziała pani Heksenszus, obok niej Wulkan i kapitan sztabowy królewskich huzarów śmierci.

Na widok Osiełka Wulkan powstał, poczesał czarną, niezręcznie przyklejoną brodę, oficer zadzwonił ostrogami i pogładził złociste szamerowania.

Pani Heksenszus siedziała na fotelu z godnością, w przepychu nowej peruki, w bluzce z jedwabnej krepy, spiętej pod szyją medaljonem, który wyobrażał jegomościa z przerażonemi oczami.

Wskazała Osiełkowi krzesło. Usiadł. Milczeli. Kanarek śpiewał.

— Więc o czem to ja mówiłam, panie kapitanie?

— O chorobie swojego małżonka — odparł oficer, najeżając małe wąsiki jak bagnety.

— Aha, tak. Więc proszę ja moich panów, mój Chryzostom w ostatnich dniach swego ziemskiego żywota miał stałe ataki, powiadam panom straszne! soliter mu podchodził pod samo gardło.

— Pani spirytusem nie próbowała — mówi huzar śmierci.

— Próbowałam kapitanie, ale nic nie pomogło.

— Mój wujek miał dwa solitery — oświadcza Osiełek i patrzy na

zebranych z wyższością.

— To blaga — rzecze Wulkan.

— Jakto blaga? Widziałem na własne oczy.

Milczenie.

Po chwili za drzwiami coś stuknęło i wszedł, nikomu się nie kłaniając, najmłodszy Heksenszus imieniem Wiktor. Matka runęła na niego i okryła rzewnemi pocałunkami.

— Zupełnie podobny do ojca.

Jabłko rzeczywiście niedaleko upadło od jabłoni: gęba zamaskowanego bandyty.

— Chodź tu, synku, do panów.

— Na ki djabeł?

— Jak się wyrażasz, Wiktorku. Wybaczcie, panowie, to wyrażenie dziedziczne: mój mąż zajmował się przed śmiercią malarstwem i namalował czerwonego szatana.

— Co pani mówi? rzecze przerażony Osiełek.

— Daję panu słowo. Chryzostom był zdolnym człowiekiem. A jaki łagodny! Nie chciałam pozwolić na sekcję, ale zrobili. To są podli ludzie. W żołądku znaleźli niestrawiony kotlet. Biedny Chryzostom! Wiktorku, powiedz, jak dorośniesz, kim będziesz?

— Fałszerzem monet — rzecze Wiktor i ma tajemniczy wyraz twarzy.

Zadowolony Wulkan uśmiecha się jadowicie: To on namówił do tej strasznej zbrodni młodego Heksenszusa.

— Idź za drzwi!

Wiktor wyszedł „za drzwi”, śpiewając niemoralną piosenkę.

Osiełek tymczasem siedział sobie spokojnie i rozważał piekielne problematy: Więc tak: musi ożenić się z Heksenszusówną i tropią go tajni policjanci. Ale powoli zapominał o rzeczywistości, w powietrzu albowiem rozlewał się tłusty, żółty zapach rosołu, spływający na duszę ludzką kojącym balsamem.

Osiełek przymrużył oczy i miał wizję: Zdawało mu się, że po morzu tatarskiego sosu płynie w porcelanowym półmisku, który jest wielki jak okręt i jeży się masztami z suszonych kiełbasek. Osiełek jest sam na okręcie, naciąga żagle zrobione z obrusa, steruje, wiosłuje i śpiewa. Okręt płynie sobie wolno, kołysząc się na falach, które Porfirjon połyka, oblizuje się i jest bardzo zadowolony. Czasem wskakuje na pokład — bronzowy, dokładnie uwędzony węgorz, którego Osiełek bierze w dwa palce, odgryza ogon i puszcza w czeluści morskie. Żagle okrętu są umazane musztardą, układającą się w rysunki najrozmaitszej treści: słońca, księżyce, bestje heraldyczne i wieloryby. W powietrzu, które pachnie cynamonem i majerankiem, fruwają pieczone gęsi, śpiewając tak słodko, że Osiełek przypuszcza, że dojeżdża do Wysp Szczęśliwości. W sosie tatarskim pluszcza się

Nerejdy, z których jedna ma pępek podobny do rzodkiewki i — gdy Osiełek wyciąga palec, aby swoim zwyczajem pomacać — Nerejda znika.

— Panie Osiełek, jak się pan zachowuje? gdzie pan wsadza palec?

Osiełek powraca do rzeczywistości i widzi swój wskazujący palec zanurzony do połowy w oczodole astrologa Wulkana.

— Najśliczniej przepraszam pana… myślałem — wyciąga palec i ociera spokojnie o żółty plusz serwety.

— Więc, proszę ja moich panów bardzo, bardzo cierpiał mój Chryzostom. A jak łagodnie konał! ręce miał skrzyżowane na piersiach — biedaczek.

— Szkoda, że pani spirytusem nie tego ten.

— Właśnie, właśnie, kapitanie, właśnie, że go zgubił spirytus.

— To blaga — rzecze Wulkan. — Jeszcze nikogo nie zgubił spirytus.

Osiełkiem znowu owładnęły wizje. Ale teraz zmieniła się pogoda: Sos tatarski przelewa się przez burtę, pieczone gęsi groźnie łyskają oczami, wichry rozdzierają żagiel. Aura straszna. Powoli otwierają się upusty niebieskie, niebo jest ciemne jak wiśniowa konfitura, trzeszczą reje.

— Teraz zginę — myśli Osiełek. Pojawia się w powietrzu długi, kościsty palec i pisze musztardą na żaglu „Dziś o 5-tej czekam na pana na Placu Kuglarzy”. Osiełek chce połknąć tajemniczą kartkę. Ale napróżno! Wirują musztardowe księżyce i słońca, a na samym dole żagla zjawia się łeb wieloryba o mikroskopijnych, czerwonych oczach.

— Pan mnie nie poznaje, panie False?

Osiełek otwiera oczy i widzi malutkie żyjątko w staromodnym surducie, duszące cienką szyję w sztywnym, wysokim kołnierzyku. Żyjątko ma zapłakane oczy i uśmiecha się fałszywie.

Osiełek mimowoli odbija piętami swoje krzesło i usuwa się dalej.

— Doskonale, że pan przyszedł do nas, panie Soft — mówi Heks. do żyjątka. — Mamy świetną sztukamięs, gęś właśnie dopieka się, nadzienie zrobiłam wyśmienite. Panowie się nie znają? Mój przyszły zięć pan Osiełek, pan Teofil Soft, sekretarz policji.

Soft patrzy na Osiełka podejrzliwie, Osiełek na Softa z nienawiścią i jest im bardzo przyjemnie.

— Że też Pifcia tak się spaźnia.

— Przepraszam, kto to Pifcia? — pyta Osiełek.

— Ach panie, to moja córka Epifanja, anioł nie córka; jest właśnie teraz na odczycie o kwiatach. Panie, ona tak kocha kwiaty…

— Kwiaty ładna rzecz — komenderuje huzar śmierci.

— Tsee… kwiaty, kwiaty to blaga — rzecze Wulkan.

— Gdybym nie była pańską starą znajomą, powiedziałabym

panu impertynencję, panie Wulkan. Jak można! Kwiaty to wszystko. Pan kiedy hodował?

— Kwiaty? Jestem człowiek realny. I Wulkan zatrzepotał brwiami.

— Panie Osiełek, czy panu podoba się ten obraz? Chryzostom zapłacił za niego pięćset sestercyj. Prawda, że ta kapusta jak żywa… pan lubi kiszoną?

Osiełek spogląda we wskazanym kierunku i widzi na obrazie drągala w czerwonym kapeluszu (niby ogrodnik), stojącego między doskonale zielonemi główkami kapusty. Słońce zachodzi.

— Śliczne, śliczne, jak żywe.

— Ale cóż się mogło stać z Pifcią?

Pani Heksenszus patrzy niespokojnie na zegar, wierci się na krześle, szarpie obrączkę na palcu, zdejmuje ją i znowu nakłada. Osiełek na widok obrączki zamyka oczy.

Huzar śmierci: — Pani słyszała, jak mego stryjka przejechali autem? Mówię pani: szast prast, wnętrzności na wierzch. À la guerre comme à la guerre.

Wulkan: — Jak pan może, panie kapitanie, opowiadać takie rzeczy? Ja się znam na tem. Auto tak nigdy nie przejeżdża; to jest proces bardzo powolny: najpierw spłaszcza się brzuch, a jelita wyskakują po trzech dniach stolcem. Czytałem w książce.

Osiełek: — Proszę panów, raz przejechało mojego wujka, właśnie tego, który cierpiał na dwa solitery. Mózg…

Heksenszus: (wiercąc się na krześle i łypiąc oczami w stronę wskazówek zegara) — Panie Osiełek, niech pan przestanie. Ach Boże, co się mogło stać z naszą Pifcią!

Huzar śmierci: — Pamiętam, w czasie manewrów poznałem jedną damę… co za nóżki, zupełnie córeczka szanownej pani. Wyszła na ulicę a tu samochód. Na miazgę, powiadam państwu, na miazgę.

Tu pani Heksenszus zakołysała w powietrzu grubemi nogami i — pokazując rąbek brudnej koronki — padła z hukiem na podłogę.

Wulkan zamrugał, zadzwoniły ostrogi kapitana, sekretarz zapisał coś w notesie z płaczliwą miną, Osiełek zrobił twarz okrągłą. Milczeli. Kanarek przestać śpiewać i rzucał się w klatce jak opętany. Duża wskazówka zegara właziła ociężale na godzinę trzecią.

— Leży — po chwili oświadczył kapitan przy akompanjamencie dzwoniącego zegara. Cisza.

— Przypuszczalnie — poprawił astrolog Wulkan.

— Należałoby protokoł — skonstantował Soft.

— Kona — ośmielił się zauważyć Osiełek i głasnął się w uda pod serwetą.

— Twierdzę, że to poród, znam się na tern — rzecze Wulkan.

— Pan tak sądzi? To niby dziecko? — pyta Soft i wyjmuje notes.

— Symptomy porodowe, najwyraźniej.

— To może wyjdźmy.

Soft podnosi się i chce wyjść.

— Niech pan zaczeka, może się coś wyjaśni.

— Niewiadomo.

Soft siada z powrotem.

Gwizdnęło teraz za drzwiami i wszedł na palcach inny Heksenszus, kłapouchy młodzieniec o nadmiernie wypukłych oczach, suwający po posadzce ciemno-zielone papucie. Zbliżył się ku matce, wyjął z aksamitnych spodeńków butelkę z gumą arabską i dając znak porozumiewawczy zebranym panom, począł spokojnie wylewać gęsty płyn na włosy matczyne i precyzyjnie rozsmarowywać pendzelkami.

Panowie patrzeli, kiwając głowami.

— A możeby tak zakleić powieki — zaproponował „inny Heksenszus” — to by było bardzo dobre.

Do tego jednak nie doszło. Wbiegł do salonu Heksenszus zwany Siódmym, dziesięciolatek z opadającemi pończochami, z niebieskim guzem na wypukłem czole, o nosie w kształcie kurzego jaja, ubrany w turecki fez, tryskający czarnym pomponem, wbiegł, jako się rzekło wyżej, i młotkiem uderzył w skroń „innego” Heksenszusa. „Inny” Heksenszus zakołysał rękoma nad głową, wysunął język i zwalił się niewinnem ciałkiem na zwłoki matki. Coś jękło i ciche westchnienie nakształt pary z rosołu rozpłynęło się w powietrzu.

Młody morderca uciekł, rzucając młotek na stół. Soft obejrzał się i schował młotek do kieszeni.

Tymczasem Heksenszusowa najwyraźniej przychodziła do siebie: robiła piersiami, dyszała, biła dłońmi o podłogę.

— Niedługo się przebudzi — zauważył Osiełek.

— Prawdopodobnie — poprawił Wulkan.

Kapitan huzarów śmierci podniósł się z krzesła i — dzwoniąc ostrogami — wyszedł do przedpokoju, gdzie rozegrał się następujący dialog:

— Nima czasu, kapitanie.

— Ale trup, chamie, rozumiesz?

— Wola boska… niby co się stało?

— Jakto co? chamie, „inny” Heksenszus zabił siódmego.

— Tiii, — jest ich tylu.

Tutaj silniej zadzwoniły ostrogi, coś spadło i rozległo się piękne klaśnięcie.

— Dobrze bije — mówi Soft.

— Nienadzwyczajnie — koryguje Wulkan.

Po chwili kapitan i drab weszli, niosąc czarne mary. Osiełek zbladł.

— Gdzie leży? — pyta lokaj.

— Na matce — informuje huzar śmierci. Gdy wynoszono niewinne ciałko, kanarek śpiewał treny i łopotał skrzydełkami w klatce o zielonych, cieniutkich prętach. Pozatem było cicho.

Wdowa przychodziła do siebie powoli, epicko, fachowo: Najprzód odemknęła jedną powiekę i poprawiła suknię, potem otworzyła drugie oko i poprawiła włosy; wkońcu pogłaskała piersi i zaczęła się unosić bardzo wolno.

— Dałbym słowo, że wstaje — rzekł kapitan.

— Prawdopodobnie — poprawił Wulkan.

Pani Heksenszus wstawała rzeczywiście; i byłaby podniosła się z upadku według wszelkich zasad lewitacji, byłaby z należytym obłędem spojrzała na obecnych, wrzeszcząc „oddajcie mi córkę”, gdyby nie groźny krzyk z czeluści kuchennych „Przypala się!” Jak ciężki bolid strzeliła wdowa Heksenszus do góry i runęła w otchłań dalszych apartamentów z takim hukiem, że blady Porfirjon Osiełek pomyślał: — Zaczyna się trzęsienie ziemi. Ale jakoś nie. Zapachniało tylko silniej rosołem, potem kwiatami, potem walerjaną i wreszcie łóżkiem o nieprzewietrzanych materacach i pomiętej pościeli. Na progu stanęła Epifanja.

Osiełek właśnie rozmawiał o nekrofilji z astrologiem Wulkanem, obserwując szamerowania kapitana, i zdziwił się, że kapitan wstaje, szasta nogami i kłania się niewiadomo komu. Tosamo czynią pozostali. Odwrócił się i osłupiał: Tak, to była napewno ona, Epifanja. I ujrzał „per visionem” ciemne schody, zielonawy płomyk zapałki i siebie, przygarbionego, jak wypisuje straszne słowo na ścianie lepkiej od wilgoci.

— Właściwie zgubiło mnie brzuchomówstwo i ten szarlatan.

— Pan dużo czyta?

— Tylko Homera.

— O, ścierwo!

Ale opanował się prześliczny pan Osiełek, wypłynął na środek salonu i, kładąc rękę na sercu: — Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną — zaśpiewał; poczem, nadając gestom swoim jak najwięcej harmonji, odrecytował całe powitanie Nauzyki przez boskiego tułacza Odyssa.

— A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padołu, Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu, Błogosławieni bracia.

Tu Soft uśmiechnął się nieznacznie i począł się bawić okrwawionym młotkiem.

W odpowiedzi na powitanie Epifanja wydzieliła z siebie potrójną woń rosołu, walerjany i kwiatów.

Kołysząc się na palcach, niepowstrzymany Osiełek wyśpiewywał cienkim głosikiem hegzametry, aż wypełznął mu zielony krawat i poczęła pękać błękitna kompozycja półkoszulka.

Tymczasem Wulkan odwrócił nieznacznie prawe oko w stronę lustra i oceniał walory panny Pifci.

— Że ma zeza, to jeszcze nic, to nawet mnie podnieca, tak, ale kto widział taką broszkę: czerwony motyl, trochę za duży, ale ślicznie polata; poco jednak ta baba nosi gorset? To nie ma sensu i niewygodne w dodatku.

— Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu, Błogosławieni bracia — piszczał od początku Osiełek.

Epifanja spuściła oczy, płonąc ogniem dziewiczego wstydu i przebierając palcami. Nagle zatrzęsła się podłoga i wdowa runęła na łono córki.

— Pifcia, Pifcia, Pifcia!

W tych słowach było wszystko.

Gdy serce matki uspokoiło się cokolwiek, pani Heksenszus rzekła do panny Epifanji:

— Baw naszych kochanych gości, droga Pifciu.

Panowie zbliżali się ku dłoniom Epifanji i całowali kolejno. Kapitanowi odpadła ostroga.

— Oto śliczny pan Porfirjon Osiełek, twój przyszły mąż — ciągnęła wdowa, wskazując na Osiełka, który z ramionami wzniesionemi wgórę, wsparty wysoko na palcach nieruchomiał w ostatnim spondeju.

— Ja tak kocham kwiaty — jękła Epifanja, panna śmiertelna.

— Kwiaty ładna rzecz — odkomenderował kapitan, z gracją podnosząc ostrogę.

— Kwiaty to blaga — rzekł Wulkan i usiadł.

Siedli wszyscy; Epifanja na brzeżku krzesła, z rękoma opartemi na kolanach, z oczami spuszczonemi wdół.

Wulkan zaczął opowiadać o nekrofilji, Egipcie, przy okazji przemycając alegoryczne pytania pod adresem panny Pifci, które były sformułowane bardzo pięknie, ale w mózgu astrologa wyglądały mniej więcej jak: „kiedyż do cholery dadzą coś do żarcia!”.

— Czy pani zajmowała się nekrofilją? — zapytał Wulkan Epifanję po trzeciem pytaniu alegorycznem.

— Ja tak kocham kwiaty — odrzekła Epifanja cicho, z modulacją i zapachniała walerjanowemi kroplami.

U PANI HEKSENSZUS.

O godzinie wpół do czwartej przechodzili do jadalni: Na przedzie toczyła się wdowa pod rękę z Wulkanem, świszcząc wytartym, żałobnym jedwabiem i poprawiając na piersiach medaljon. Wulkan mrugał powiekami bardzo szybko, plątał się w powłóczystościach dalmatyki i nastawiał sobie brodę, która powoli zaczynała się odklejać. Za nimi podskakiwał Osiełek, przyciskając do swego łona Epifanję, która zezowała bardzo dyskretnie w różowych emanacjach, bijących ze skrzydeł motyla-broszki. Następną parę tworzyło żyjątko sekretarza policji, zawiklane w sztywny, blady kołnierzyk i fałdy cielska pani Tundal, ciotki Epifanji, która to „dramatis persona” niewiadomo jakim sposobem znalazła się w salonie.

Soft objaśniał pani Tundal, że „Osiełek to jest napewno podejrzany człowiek (czy znała pani kiedy fabrykanta sztucznych nosów?)” i dźwigał ze zrozumiałą powagą złote *face à main* swojej damy. Za nimi tarmosiło się jedenastu Heksenszusów, a na końcu pochodu, lśniący kanarkowem złotem galonów i pasmanterji, chrzęścił kapitan królewskich huzarów śmierci, zapinając ukradkiem ostrogę.

Zasiedli do stołu w tym samym porządku. Kapitan ulokował się na rogu i natychmiast zażądał wódki.

Osiełek na widok „sztukamięs” nie posiadał się ze szczęścia; parowała wonnemi kadzidłami pary i zieleniła się pietruszką. Obrus leżał przed nim świąteczny, biały, jak najdokładniej splamiony musztardą, zapomocą której wymalowany był pośrodku półksiężyc w glorji gwiazd.

— Dziwnie się bawią w tym domu — zauważył Osiełek w głębi swojego jestestwa.

— Porfirjonie, — ryknęła wdowa — przynieście kanarka! — i zwracając się do Osiełka:

— Nasz lokaj ma na imię Porfirjon, niech pan się nie obawia.

Zjawił się drab z nożem, mruknął „zawsze z tym kanarkiem”, przyniósł klatkę i zawiesił ją na sznurku ponad głowami biesiadników.

— Widzi pan, panie Osiełek, ja bez śpiewu kanarka nie zjadłabym za nic w świecie obiadu. Niech pan spojrzy: jaki czarowny ogonek.

Kanarek mrugał przerażonemi ślepkami i Osiełek niewiadomo dlaczego znalazł w nich podobieństwo do oczu jegomościa na medaljonie.

— O tak, czarowny, w rzeczy samej, droga pani Heksenszus.

Kanalja Wulkan, przesunął rękę poza plecami żałosnej wdowy i widelcem rozbujał klatkę.

— Sardanapal, Sardanapal, mój biedny Sardanapal! Jak pan śmiał, panie Wulkan!

— Nic mu nie będzie, znam się na tern — odparł Wulkan i wpakował do ust potworny kawał „sztukamięs”; która, aczkolwiek „wyborna”, była żylasta i właziła pomiędzy zęby.

— Że też nie mogą kupić lepszego mięsa — monologował w duchu astrolog, wpychając do gardła kawały mięsa serdecznym palcem; i głośno: — Świetne mięso, czcigodna pani Heksenszus, psycho-somatyczne.

— Panie Osiełek, może sosu kaparowego, własnej roboty, doskonały — zapraszała wdowa.

— Dziękuję pani łagodnie, właśnie delektuję się chrzanowym.

I Osiełek rozlewał fajansową łyżką gęstą, szpileczkami rozkoszy w nosie kłującą ciecz, zwaną sosem chrzanowym, potem powoli umieszczał łyżkę w sosjerce kształtnej i przypominającej łódkę.

Biesiada odbywała się bez dźwięku fletów i forming, ale zato z sąsiedniego pokoju dolatywały tony doskonale zgranej polifonji, w której przyjmowało udział jedenastu Heksenszusów (dwunasty, jak wiadomo, zabity i deportowany na strych) pod batutą słynnego Wiktora.

Biesiadnicy spożywali potrawy spokojnie, a raczej z entuzjazmem zamaskowanym, który nie pozwalał na pożeranie mięsa palcami, co czyni każdy kulturalny człowiek, gdy jest, jak mówi poeta, „sam na sam z Bogiem”. Najbezczelniej zachowywał się kapitan: zagarnął butelkę w prywatne posiadanie i trąbił jak helikon. Wdowa zdawała się nie zwracać na to zbytniej uwagi, ale, gdy huzar śmierci palnął nożem w klatkę, bolesna pani Heksenszus wezwała Porfirjona–lokaja i kazała sprzątnąć alkohol. W odpowiedzi na to kapitan wyjął z kieszeni własną butelkę, pełną wiosennie zielonego płynu i zaczął chlać nanowo.

Przy rosole Osiełek wymyślił aforyzm i zakomunikował go Epifanji, twierdząc, że jest jego własnym i najzupełniej moralnym, na co śmiertelna mieszkanka padołu uśmiechnęła się t. zw. zezem nieszkodliwym i wyraziła swoją miłość do kwiatów.

Przy gęsi rozpłakała się pani Tundal dla niewiadomych powodów, ale, jako również wdowa, mogła mieć po temu najrozmaitsze przyczyny, których nie starał się dociekać sekretarz Soft i — współczując boleści w milczeniu, ocierał swojej sąsiadce wielkie łzy czerwonym fularem. A tymczasem kanarek, nieszczęsny, sprofanowany od Wulkana i huzara śmierci Sardanapal, huśtał się jak wahadło niesłychanego zegara, rozpryskując na biesiadników siemię lniane i wiele innych rzeczy, stanowiących atrybuty dobrze sytuowanego kanarka.

— Fenomenalna gęś! — ryknął kapitan, czkając, i dla lepszego

zadokumentowania swego zachwytu nasmarował sobie włosy nadzieniem.

Wdowa była zachwycona.

Podano kawę w glinianej maszynce bronzowego koloru i piperment. Na widok likieru Soft uśmiechnął się bardzo ostrożnie, aby nie zdradzić zadowolenia, Osiełek głasnął się po udach i — trawiąc w żołądku swoim sos chrzanowy, kaparowy, „sztukamięs”, koperek, selery, pory, pietruszkę, jedną marchewkę i czarodziejsko wypieczoną, tłustą pierś gęsią, doznał takiego zachwytu, jakoby zobaczył świetliste oczy Bice dantejskiej.

Pani Heksenszus rozlewała kawę do maleńkich filiżanek, zdobnych w ornamenty, wykonane przy pomocy t. zw. kalkomanii. Osiełek pił kawę powoli, cichuteńko, nie słodził, jak przystało na prawdziwego znawcę, popijając piperment, od którego zieleniło się w mózgu jak w ogrodzie. Po piątym kieliszku likieru poczuł w sobie błogą senność i nieopisaną słodycz w kościach, a po szóstym zapragnął pokochać zezowatą Epifanję, która wydawała mu się coraz piękniejszą, coraz ponętniejszą w biodrach, coraz bardziej pociągającą; i dlatego pocałował ją w plecy.

To samo uczynił Wulkan z panią Heksenszus, który, jakkolwiek przekładający nad wszystko dziewice, pielęgnował w sercu swojem wrodzoną a niewytłumaczalną słabość do wdów.

Soft zapragnął uczynić podobną roskosz pani Tundal, ile że niema niewiasty, która nie ceniłaby pocałunku w plecy, albo conajmniej w tylną część szyi, ale zrobił to tak niezręcznie, że pani Tundal rzuciła się w krześle w tył z nerwowością właściwą wdowom, które nie zaznały mężczyzny — i zaślinione wargi sekretarza przylepiły się do poręczy krzesła.

Podniósł się teraz ogromny wrzask i do pokoju wkroczył Heksenszus zwany siódmym, bratobójca, oświadczając, że Arkadjusz wsadził ekierkę w oko Apollodora. Matka przyjęła wiadomość spokojnie, heroicznie i nie protestowała nawet, gdy bratobójca ozdobił głowę Softa tureckim fezem, w którym sekretarz policji wyglądał jak zepsuty muchomor.

Biło wpół do czwartej. Pili kawę.

— Jestem przekonana, że zjadł go soliter — rzekła nagle pani Heksenszus, oglądając piperment pod światło.

— Tak, tak, to prawdopodobne — potwierdził Osiełek, nie domyślając się zresztą, że mowa o czcigodnym nieboszczyku–małżonku.

— Gdybym się zgodziła na operację, byłby napewno wyzdrowiał. Panie Osiełek, jestem kobietą nieszczęśliwą i pan pozostał mi tylko i Pifcia; Pifciu, czy kochasz ślicznego pana Osiełka?

— Kocham go jak kwiaty — szepnęła Epifanja cicho, głosem

wilgotnym ze wzruszenia.

— Pobierzecie się za tydzień — oświadczyła uroczyście wdowa, patrząc tkliwym okiem na młodą parę. Osiełek, mimo wzrastający afekt do Epifanji, zbladł śmiertelnie. Na wieść o zbliżającym się ślubie kapitan wyciągnął z kieszeni nową butelkę, wypił do dna bez użycia kieliszka i runął pod stół.

— Skończy, jak Chryzostom — zauważyła matka bratobójcy.

— Więc pani, ośmieliła się sfałszować metodę śmierci zacnego małżonka; okazuje się, że był alkoholikiem, a nie soliterystą.

— Panie Wulkan, mój Chryzostom umarł właśnie na solitera, wypraszam sobie podobne kalumnje.

— Czy okna tego pokoju wychodzą na plac Kuglarzy? — spytał sekretarz policji.

— Dlaczego pan pyta o to, panie Soft — zainteresował się Osiełek, ponieważ raptem przypomniał sobie tajemniczą kartkę w prawej kieszeni spodni.

— Tak sobie — objaśnił Soft.

— Co to znaczy tak sobie?

— Coś znaczy — odparł Soft i, uśmiechając się dwuznacznie, wstał od stołu.

— Pan już nas opuszcza? — spytała wdowa.

— Tak, szanowna pani, ważne sprawy, nowe aresztowania, bardzo mi przykro. Soft ucałował dłonie wdowy z godnością i, kłaniając się towarzystwu, zniknął za drzwiami.

— To jakiś dziwny człowiek — zauważyła pani Tundal, niemniej wdowa.

— Fenomenalne nadzienie — odpowiedział pod stołem kapitan huzarów śmierci.

— Panie Osiełek, może likieru? — zaproponowała pani Heksenszus.

— O, z roskoszą.

I Osiełek nalał sobie pipermentu do szklanki.

— Czy pan widział tego szatana, którego namalował mój Chryzostom?

— Nie, nie widziałem.

— Zaraz panu pokażę, śliczny, cały czerwony.

Osiełek wypił duszkiem szklankę likieru i skonstatował, że jest mu zupełnie dobrze.

— Porfirjonie, przynieście szatana.

— Kiedy został wyniesiony do piwnicy.

— To przynieście z piwnicy.

Wybiło wpół do piątej. Dźwięk zegara przyprowadził Osiełka do przytomności. Wstał i, kłoniąc postać swoją przed matką jedenaściorga:

— Pani wybaczy, droga pani Heksenszus, ważne sprawy…

— Mam nadzieję, że za kilka dni zobaczymy się. Epifanja będzie tęsknić. Ale przecież miałam pokazać panu szatana.

— To już innym razem. Dowidzenia paniom, dowidzenia, panie Wulkan, dowidzenia, najdroższa Epifanjo.

Ostatnie słowa Osiełek wypowiedział z prawdziwem wzruszeniem i, zataczając się leciutko, wyszedł.

*

Na placu Kuglarzy było ciemno i pusto. Właściciele kramów już się rozeszli do domów, na teatrze marjonetek wisiała kartka z napisem: „Dzisiejsze przedstawienie «Orfeusza w Piekle» odwołane”.

Wtem zaturkotało wpobliżu: Jechał wózek pełen owoców, ciągniony przez osła, kiwającego uszami z rezygnacją, a obok wózka postępował staruszek z długą, siwą brodą, wsparty na trzcinowym bacie.

— Przepraszam pana, czy tu nie było nikogo? — spytał Osiełek uprzejmie nad wyraz.

— A pan kogo szuka?

— Właśnie nie wiem; o wpół do piątej powinien tu ktoś na mnie czekać.

— Ho, panie, cóż ja panu poradzę — rzekł staruszek głosem pełnym wewnętrznej świętości. — Niech pan się dowie „Pod karpiem”.

— A gdzie to?

— A tam, niech pan spojrzy, gdzie buja się ta drewniana ryba… O, już zaczynają grać.

Osiełek podziękował staruszkowi za informację i udał się we wskazanym kierunku.

Przez żółte od naftowego światła okna gospody ujrzał tłum ludzi jedzących i olbrzymi cień gospodarza w holenderskiej czapce. Przed gankiem na miedzianym drucie wisiał karp niepospolitych rozmiarów, wyrobiony cudacznie w sosnowej desce.

Osiełek pociągnął rączkę dzwonka, mającą kształt koźlej nogi, i wszedł do środka. Uderzył go w nos zapach wędzonych ryb, skwaśniałego wina i ciężka, chmielna woń tęgiego piwa.

U pułapu kiwała się sennie lampa naftowa, nakryta wyszczerbionym kloszem i kołysały się bukłaki z bydlęcej skóry, bulgocące czerwonem winem. Za szynkwasem stał właściciel gospody, bydlę potwornych rozmiarów o potrójnej brodzie i oczach nalanych krwią.

Osiełek usiadł przy stoliku obok drzwi i po raz piąty odczytał niezrozumiały list. W przyległej izbie grano na instrumencie

przypominającym symfonał. Na ławach pod ścianami siedziało podejrzane bractwo w jaskrawych ubiorach, ludzie o włochatych dłoniach i niegolonych policzkach. Wszyscy pili alkohol z kubków cynowych, na których różnemi kolorami były oddane sceny z żywota Pana Jezusa.

Człowiek w kapeluszu nasuniętym na oczy, z twarzą zabandażowaną do połowy walił czerwoną pięścią w stół i krzyczał:

— Wszystkich wyrżnąć! Ot, co ja powiadam.

— Tak, to tak, — potakiwał gość w czerwonej koszuli, sterczący sztywnemi wąsiskami ponad stołem. — Tak, tak, bracie Gwalbercie.

— Wszystkich wyrżnąć, co do jednego; hallo, panie Kalwus, butelkę wina!

W jakiejś izbie tańczono: Piszczały kobiety, zgrzytało bijące się szkło i podłoga trzęsła się tak silnie, że lampa, wisząca tuż nad głową Osiełka podrygiwała jak tanecznica — i coraz głośnie zabulgotało śpiące w bukłakach wino.

Osiełek zamówił pół butelki miodu i pogrążył się w medytacji.

Raptem poczuł na skroni jakby chłód żelaza i zdało mu się, że ktoś stanął za nim; odwrócił głowę.

— Czy nie masz tytoniu, kolego — pytał ochrypłym głosem człowiek z zabandażowaną twarzą.

— Nie mam — odparł Osiełek.

— Aa, to przepraszam.

Morderca skłonił się i wrócił do swego stolika.

Dwóch kuchcików w białych biretach wtoczyło wyłupiastą beczułkę; stanął na niej kobziarz i zaczął wygrywać rytmy taneczne. Marynarz w granatowej czapeczce z czerwonym pomponem — schwycił kobziarza za gardło i zwalił na ziemię; poczem sam wskoczył na beczkę i począł gwizdać na okarynie.

— Voila! to jest muzyka! — wrzeszczał marynarz, tańcząc na jednej nodze.

Na ścianach gospody widniały napisy w języku łacińskim, objaśniające zbawienne skutki pijaństwa i dziwne roskosze ukryte w butelkach z winem. Na ścianie, obok której siedział człowiek w czerwonej koszuli, lśnił wymalowany srebrną farbą kielich, a pod nim napis w kształcie półkola, zaczynający się od słów: „ISTE SCYPHUS PRAECLARUS PLENUS DE BONO MERO”.

Teraz otworzyły się drzwi i wszedł osobnik, wprawdzie bez niebieskich okularów, bez fantastycznego kapelusza i powłóczystego płaszcza, ale niemniej nadzwyczajny: Wzrostu sekretarza Softa, twarz miał zamaskowaną, na piersiach przyczepioną do guzika latarkę; zbliżył się do szynkwasu i — przechyliwszy się przez mosiężną barjerę — szepnął coś na ucho gospodarzowi. Osiełek nie zauważył tego, ponieważ obserwował obrazki wymalowane na kubku; właśnie oglądał

część naczynia, gdzie był przedstawiony Sąd Ostateczny z aniołami grającemi na trąbach, gdy uczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwracając się, był przekonany, że ujrzy twarz zabandażowanego mordercy i rewolwer, ale oto stał przed nim człowiek zamaskowany, z latarką na piersiach.

— Jestem profesor Dante, rzeczywisty tajny radca — przedstawił się przybyły.

— Jestem, jak już wiadomo, śliczny pan Osiełek; czy pan w sprawie tajemniczej kartki?

— Tak, proszę pana, w sprawie tajemniczej kartki; pozwoli pan, że usiądę koło niego.

— Proszę łagodnie.

Gość z latarką usiadł i zawołał dyszkantem, znamionującym umyślne fałszowanie głosu:

— Panie Kalwus, pięć butelek mezzo-chianti, tego osiem sestercyj butelka.

Kalwus skłonił się, odsapnął, pomacał trzecią brodę i przyniósł pięć butelek.

— Pozwoli pan, — zaczął tajny radca — że nie będę tłumaczył, w jaki sposób wyżej wspomniana kartka znalazła się w jego bronzowych spodniach. Jestem człowiekiem olbrzymiej erudycji, znam astronomję (autor Boskiej Komedji jest moim pierwszym kuzynem) i właśnie w sprawie astronomji chciałbym się rozmówić z panem. Pan słyszał o Cassinim?

— Aa, słyszałem — zełgał Osiełek. Tu musieli przerwać rozmowę, bo zrobił się infernalny hałas.

— Uciąć głowę! — ryczano w przyległej izbie.

— Panie Kalwus, co to za wypadek? — spytał profesor.

— Mordują Różdżkę.

— Jakiego Różdżkę?

— A instrumenciarza.

— Aa.

Osiełek obejrzał się niespokojnie i łyknął większą dawkę mezzo-chianti.

— Otóż Cassini odkrył światło, t. zw. zodjakalne… zresztą pan zna te rzeczy i nie będę długo się rozwodził. Po długiem badaniu przyszedłem do wniosku, że światło to nadaje się do oświetlenia… jednem słowem chodzi mi o fabrykację lamp zodjakalnych.

— Lamp zodjakalnych?

— Panie Osiełek, nad tą sprawą myślałem siedem lat i wypracowałem zupełnie dokładną konstrukcję. Przy pomocy specjalnego mechanizmu można koncentrować owo światło w odpowiednich zbiornikach i po oczyszczeniu w skomplikowanym alembiku arabskim napełniać niem lampy.

— Mnie się wydaje, panie profesorze, że to będzie bardzo trudne.

— Ależ panie, zupełnie łatwe: Lampy robi się z bronzu, ponieważ światło Cassiniego jest niesłychanie gwałtowne i przy użyciu innego materjału mogłoby spowodować wybuch.

— Więc to jest niebezpieczne!

— Rzeczywiście, ale z innych powodów. Z tego wynalazku zwierzam się panu, panie Osiełek, bo wiem, że pan jest człowiekiem uczciwym i godnym zaufania. Fabrykacja lamp zodjakalnych jest naprawdę bardzo niebezpieczna… widzi pan… policja jest na tropie… takich lamp wyrabiać nie wolno, a wie pan dlaczego?

Rzeczywisty tajny radca roześmiał się złośliwym, świdrującym śmiechem; błysnęły małe oczki jak owady świętojańskie przez wycięte otwory maski.

— Nie wiem, dlaczego.

— Otóż to, niech pan uważa: światło zodiakalne zabija.

Osiełek nalał sobie wina i wypił duszkiem; zdało mu się, że trąby aniołów na kubku zaczynają lśnić nieprzyjemnym, cierpkim blaskiem; przymrużył oczy.

— Światło zodjakalne, panie Porfirjon, (panu na imię Porfirjon, nieprawdaż?) jest bardzo pięknem światłem: Ma dwie barwy, przelewające się jedna w drugą: złotą i zieloną, zieloną jak pański krawat.

— Jak mój krawat?

Osiełek poprawił krawat niespokojnie i pociągnął wina.

— Tak, tak, panie Porfirjonie, to jest bardzo piękne światło i osobliwie dźwięczy, szczególnie wieczorem; posłyszy pan u mnie w laboratorjum, tylko ostrożnie! Dam panu maskę bezpieczeństwa, o, taką jak ta. Profesor wskazał na maskę — malutką ręką w czarnej rękawiczce.

— Panie Dante, czyby pan nie mógł mi wyjaśnić, dlaczego właściwie pan w tej sprawie zwraca się do mnie?

— Otóż to, panie Osiełek, otóż to. Pan jest finansistą, a ja jestem ubogim wynalazcą. Na realizację mojego wynalazku potrzebne są ogromne fundusze, setki tysięcy prawdziwych sestercyj.

— Dlaczego pan mówi prawdziwych?

— Hm, bo zdarzają się fałszerze monet, ludzie straszni.

— Czy pan nie jest przypadkiem agentem policji, panie Dante.

— Ależ, skąd? Pogardzam policją; to są ludzie nikczemni.

Osiełkowi od wypitego wina zaczynało się kręcić w głowie. Gospodarz patrzył na niego zakrwawionemi oczami, uśmiechając się szyderczo.

Marynarz grał na okarynie coraz żałośniej.

Mordercy pod ścianą chrapali.

— Panie Osiełek, więc gdyby pan miał czas, zaprowadziłbym pana do mego laboratorjum na ulicę Noktambulików.

— Co pan mówi? Sam jestem noktambulikiem, na tej ulicy otruł się mój ojciec.

— Dlaczego?

— Z rozpaczy, akurat w dniu moich urodzin, anilinowym atramentem.

— Nieprzyjemna historja. Dlaczego właśnie anilinowym? Czy nie mógł innym środkiem?

— Mógł, ale widzisz, profesorze, mój ojciec był również estetą i miał specjalne nabożeństwo do fioletowej barwy: nosił tylko fioletowe krawaty i tylko fioletowe półkoszulki. Matka podobno radziła atrament czerwony, marki „Murzyn zabijający Łabędzia", ale nic nie pomogło. Wypił butelkę fioletowego, stary warjat…

— Panie Osiełek, więc jeżeli pan zechciałby do mnie, to proszę.

— Bardzo chętnie.

„Zapłacili i wyszli". Osiełek wychodząc, zawadził głową o lampę.

Było już zupełnie ciemno i trochę wietrzno. Drewniany karp huśtał się tam i sam na miedzianym drucie, kołysząc niezdarnie ogonem. Blask, tryskający z piersi profesora, przecinał ciemność placu Kuglarzy ostrym, złocistym floretem. Pod ścianą pewnego domu ujrzeli astrologa Wulkana, który właśnie, z głową zadartą dogóry, przyglądał się konstelacjom przez teleskop, niewybredną kombinację sztywnych mankietów. Przeszli koło niego, nie słyszał — z nosem zadartym ku niebu.

Skręcili w ulicę Szarlatanów, minęli restaurację, gdzie sprzedawano obiady po siedem sestercyj „z rybą i pieczywem", i znaleźli się przy studni Neptuna. Osiełek zajrzał do środka: Głęboko, na dnie lśnił i dźwięczał helikon, a na powierzchni wody pływały upadłe z niebios gwiazdy. Ulice zaczęły się krzyżować i wikłać jak pajęczyna. Minęli plac Świętych Młodzianków, potem zaułek Rzezimieszków, gdzie dopóźnawnoc przechadzali sięnajwięksi łotrowie miasta, potem wieżę Lunatyków i Więzienie królewskie, obok którego mieścił się pałac burmistrza, strzeżony przez dwa drzemiące lwy z czarnego srebra; Osiełek zauważył, że ogony lwów były skradzione.

— Panie profesorze, czy jeszcze daleko? Ja zwykle chodziłem na ulicę Noktambulików przez plac Dzieciobójców.

— Już niedaleko. Idziemy dobrze.

Pod oknem domu, nad którego bramą wisiała blacha z napisem „Tu wejście do loży" grał na flecie młodzieniec ubrany z włoska.

— Przystańmy, profesorze.

(W powietrzu miękkiem od ciemności rytmy fletnisty tańczyły

jak srebrzyste węże).

— Czy daleko jeszcze?

— Już niedaleko. Musimy tylko minąć Synagogę.

Szli dalej. Osiełek zataczał się coraz wyraźniej, mrucząc coś pod nosem bez sensu.

— Czy pan się modli?

— Nie, profesorze, ja tylko tak sobie.

Na rogu jakiejś ulicy Osiełek przystanął gwałtownie i patrząc w oczy wynalazcy, zapytał:

— Panie Dante, czy pan napewno nie jest agentem policji?

— Dziwne przypuszczenie, powiedziałem już panu, że nie mam nic wspólnego z policją.

(W powietrzu słodkiem jak nieszpory szeleściły jakieś owady o skrzydłach ciężkich i lśniących).

— Widzi pan, panie Porfirjonie, ten dom, nad którego bramą świeci latarnia z liczbą 27?

— Widzę.

— To jest właśnie mój dom.

Wchodzili po schodach wykrzywionych i skrzypiących. Brzęczała blacha latarki, strumień światła bijący z piersi profesora wyglądał jak sznur złoty, za który wciągano ich na górę. Na trzeciem piętrze latarka zgasła.

— Nie mam zapałek, panie Dante.

— Drobnostka, ja też nie mam. Nie o to mi chodzi, śliczny panie Osiełek, nie o to, kochanie; pytam pana jeszcze raz: Czy pan zgadza się fabrykować lampy zodjakalne mimo zakazu ze strony policji?

— Tak, panie.

— Wobec tego aresztuję pana w imieniu prawa rzymskiego. Jestem Soft.

Osiełek drgnął, aż mu laska wypadła; i zjechał nadół po poręczy.

— Nie uciekaj! — pisnął prowokator — bo będę strzelał.

Ale Osiełek uciekał naoślep: uderzał głową o ściany, wpadał na poręcz schodową, dyszał i sapał i odbijał się piętami aż dudniło.

— Trzymaj!

Na ulicy przystanął. Zachrobotało w bramie, zachrzęściło i błysnęła latarka Softa. Osiełek pochylił się i popędził; czuł za sobą blask latarki i piszczący, wściekły oddech sekretarza policji; pędząc, wymachiwał rękami; pięty niemal uderzały w pośladki.

— Zatrzymaj się, bo strzelę!

Rwali obaj coraz szybciej. Przepłynął ciężki, brunatny cień synagogi, zalśniły oczy drzemiących lwów i zgasły. Czasem zdawało się Osiełkowi, że obok niego pędzi po ścianie cień, przypominający kształtem czworonoga o długich, smutnych uszach i ogonie zwiniętym w znak zapytania.

Minęli Więzienie królewskie, wieżę Lunatyków, zaułek Rzezimieszków, plac Świętych Młodzianków i dobiegli do studni Neptuna.

Para marmurowych bóstw spala pokryta błękitną glazurą nocy.

Nagle Softowi zgasła latarka i, gdy Osiełek skręcał w ulicę Szarlatanów, usłyszał straszne przekleństwo i łoskot: Agent policyjny wpadł do studni Neptuna.

Lecz mimo to Porfirjon rwał naprzód, nie oglądając się poza siebie; przy pewnym domu podskoczył tak wysoko, że zawadził głową o latarnię nad bramą; latarnia spadła na chodnik i wypłynęła z niej świecąca liczba. Wreszcie ujrzał nad pewnym sklepem zawieszoną waltornię. Był to sklep Bogumiła Różdżki. Osiełek pchnął drzwi nogą aż zazgrzytały zawiasy, dźwięknęła zawieszona trąba. Wewnątrz było ciemno, z za lady dolatywało przeciągłe chrapanie, mruczał Myrmidon.

W pierwszej chwili Osiełek osłupiał. Jakto? Różdżka, sprzedawca instrumentów żyje? Różdżka zamordowany pod Karpiem?

— Panie Różdżka, hej, panie Różdżka!

— A co?

— Pan żyje?

— Tak.

— A Pod Karpiem?

— To mój brat…

I Różdżka zasnął, zamykając powoli wyłupiaste oko.

Świtało. W cynowem świetle brzasku Osiełek ujrzał mosiężne helikony, równemi rzędami poustawiane na półkach i schwycił go taki gniew, że, tracąc panowanie nad sobą, porwał stojącą w kącie wiolonczelę z pięknym zamiarem roztrzaskania jej na głowie parszywego drania Różdżki, ale opuściły go siły, wiolonczela zwisła mu w ręku i Osiełek, mając wrażenie, że całe niebo zwala mu się na głowę, runął jak długi.

*

Obudziło go rzyganie kota. Biedny Myrmidon zwijał się na kontuarze w kłębek, rozwijał się jak struna do skrzypiec, przewracał oczami i strzykał roztworem z niestrawionych sardynek. Bogumił Różdżka spał z rogalikiem zanurzonym w szklance białej kawy. Z ulicy dolatywał gwar. Przez szybę wystawową widać było szybko przechodzących ludzi, a na drugiej stronie ulicy wielki tłum zgromadzony dokoła nalepionego plakatu. Tłum kołysał się i chybotał podobny do kupy czarnych, wijących się soliterów, a plakat opiewał śmierć sekretarza Softa w nurtach Studni Neptuna i kończył się słowami „Kimkolwiek jest zbrodniarz, który przyczynił się do

zatopienia znakomitego policjanta, zostanie ścięty na rynku toporem katowskim". Dalej widniały podpisy i pieczęć z czerwonego wosku.

Osiełek nie stropił się tem zupełnie i poszedł do kawiarni zwanej „Pod wątrobą Prometeusza".

Było mu jakoś słodko na duszy i dlatego kupił sobie po drodze nową laskę, której złota gałka wyobrażała mordkę osiełka. Na balkonach domów wietrzyły się różnokolorowe dywany; ćwierkały różnokolorowe ptaki.

W kawiarni zastał Wulkana w gronie handlarzy żywym towarem. Wszyscy mieli dewizki na olbrzymich brzuchach i jedli pączki, gniotąc je w pulchnych, spasionych palcach. Z zasłyszanych zdań wyrozumiał, że rozprawiają o śmierci Softa.

— Szkoda człowieka.

— A szkoda.

— Wszystko przez tę studnię.

— A pewnie.

Osiełek wysunął się dyskretnie z kawiarni, nie płacąc rachunku za dwie czekolady z pianą.

Na ulicy wrzask czynił się coraz donioślejszy. Konni policjanci w hełmach z pióropuszami cwałowali po wszystkich ulicach w poszukiwaniu zabójcy. Mówiono o aresztowaniach w znanym domu na placu Dzieciobójców. Po niektórych ulicach obnoszono portret Softa, na którym zatopiony sekretarz, ubrany w strój galowy, trzyma w jednem ręku pióro, a w drugiem czerwoną bibułę, jako insygnja władzy. Chłopcy w żółtej liberji rozdawali na rogach ulic kartki z zawiadomieniem, że „Królewski teatr dra Anioła wystawia dzisiaj tragiczny wodewil pt. «Sofa sekretarza Softa»".

Gdy Osiełek doszedł do placu Kuglarzy, zauważył drewniane rusztowanie, z którego przemawiał do gwiżdżącego tłumu dyrektor Anioł, zachwalający premjerę:

— Szanowna publiczności, sztuka, którą ci pokażemy obfituje we wstrząsające epizody. Moment, w którym sekretarz Soft wpada do studni, jest oddany z nieopisaną precyzją. Każdy będzie mógł sprawdzić namacalnie, że aktor nurza się po szyję w autentycznej wodzie.

W odpowiedzi na to Osiełek gwizdnął przez zęby i wszedł do domu Heksenszusów.

Wdowa przyjęła go w różowym robdyszanie, podając rękę tłustą od masła.

— Czy jest Pifcia?

— Jest, właśnie leży w wannie.

— Aaa.

Siedli na czarnej sofie o spazmatycznie wygiętych nogach. Osiełek zauważył, że wdowa położyła dłoń na sofie w tem miejscu,

gdzie przez wyszarpaną dziurę strzykały bebechy.

— Dlaczego pani kładzie rękę akurat w tem miejscu?

— Z przyzwyczajenia — odparła wdowa z wyraźną urazą w głosie.

Z pobliskiej łazienki słychać było pluskanie i wrzaski roskoszne, jakie wydają obnażone dziewice przed zwierciadłem.

— Czy tam nie możnaby wejść? — spytał Osiełek, który zaczął silnie pracować imaginacją.

— Gdzie?!

— Do łazienki.

— Jak pan śmie, panie Osiełek! Coś podobnego!

— No niby jako narzeczony.

— Cóż pan sobie myśli? Epifanja nie może patrzeć na gołą rękę mężczyzny, a pan takie rzeczy! Wstyd!

Skonfudowany Osiełek spuścił oczy i zaczął przebierać palcami nader wstydliwie.

— Pan wybaczy, muszę wydać dyspozycje w kuchni, wrócę za mały kwadransik.

Wdowa wyszła, zostawiając na dziurawem miejscu sofy chustkę do nosa. Osiełek natychmiast uniósł chustkę i z dziką radością jął wybebeszać stary mebel. Robił to bez wprawy, niespokojnie, szarpiąc, i za każdem szarpnięciem wydłubywał z biednej kanapy pukiel końskich włosów. Po pięciominutowej pracy natrafił na coś, co przypominało surowy kotlet. Pochylił się nad otworem i spojrzał: Stęchła woń podrażniła mu nozdrza, twarz zbladła tak silnie, że zdawała się niknąć na tle białej ściany, włosy — nawet na brwiach — podniosły się do góry, czoło i dłonie pokryły się lepkim, kleistym potem: na dnie kanapy leżały martwe, nadpleśniałe bliźnięta. Tableau! Czyjeś kroki odezwały się za drzwiami. Osiełek z rozpaczliwą miną jął zapychać piekielny otwór. Serce mu biło. Wreszcie dziura została zatkana. Odetchnął. Ale nagle zbladł jeszcze bardziej i zachwiał się na nogach jak człowiek, którego spotyka wielkie nieszczęście. Boże! Boże! Bliźnięta były podobne do Epifanji. Tak, tak, napewno: poznał to po charakterystycznym zezie. O, walcie, gromy! Biedny, biedny Osiełek!

Tymczasem w dalszym ciągu woda pluskała w łazience, burczały krany, syczał prysznic i Osiełek znowu zaczął pracować imaginacją. Pędzony przez wichry rozpaczy i namiętności, przebiegł ciemny korytarz, gdzie leżał fragment odgryzionego ucha, (o! obłudna matko plugawych dzieci!) i stanął przed białemi drzwiami łazienki. Nachylił się: niestety, dziurka od klucza była zabita papierem. Zaczął wydłubywać papier powoli, bez szelestu, zapomocą wykałaczki. Ręce mu drżały. Drobne papierki jak malutkie gołąbki wyskakiwały z otworu i kołysząc się, opadały na podłogę. Uderzył niechcący głową w

drzwi… do stu djabłów! Wreszcie pracowita wykałaczka uderzyła w próżnię. Zgarbił się, wścibił głowę i runął nawznak z przerażenia: Oto dziewica anielska Epifanja Heksenszus była lekko brzemienną. O pochłoń, ziemio, pana Osiełka!

— Osiełek, gdzie pan jest, panie Osiełek? Był to głos wdowy. Osiełek podniósł się, zamaskował, jak mógł najlepiej, osłupienie, poprawił krawat i włosy, wygładził spodnie i wkroczył do salonu blady. Osiełek-posąg. Osiełek-kolumna.

Uśmiechnął się nawet.

— Czy nie możnaby przyśpieszyć ślubu?

— Dlaczego panu tak śpieszno, najdroższy zięciu?

— Bo jestem bohaterem.

I Porfirjon Osiełek skłonił się przed zdumioną panią Heksenszus i kładąc rękę na sercu, wyszedł z godnością.

Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff, oszukany i pohańbiony, poszedł pić naumór.

*

Schodził po schodach wolno, z pochyloną głową; ręce opuszczone bezwładnie zwieszały się jak niepotrzebne, bezużyteczne członki. Smutne jest życie. Jakby wiedziony mocą czarnoksięską, zwrócił oczy na ścianę: Fatalny napis warczał bezczelną literą; reszta była zatarta. O, podłości ludzka, za rycerskość płacą nam oszustwem, za serca miód cykutą hańby!

Pod Karpiem rzucił się Osiełek na ławę i pił do zmierzchu. Wieczorem przyszli mordercy; ten bandażowany i ten w czerwonej koszuli. Osiełek zapoznał się z nimi i pili razem. Kalwus stawiał na stole coraz nowe butelki, puste rzucano pod stół. Lampa naftowa paliła się mrocznie, jakby niechętnie. Po brudnych ścianach łaziły pokraczne, duszne cienie. Osiełek milczał, patrząc w jeden punkt — osłupiały i przerażony; poczerwieniały mu oczy, wzrok stępiał.

W jakiejś izbie tańczono. Powietrze, kłębiące się dymem nędznego tytoniu, dusiło.

— Panie Kalwus, jeszcze dwie buteleczki.

Osiełek automatycznie podnosił kubek do ust drżącą, spotniałą dłonią.

Zabandażowany morderca krzywił gębę w sposób odpychający i zgrzytliwym głosem opowiadał jakieś nieprawdopodobne historje, kołysząc wstrętnym łbem ponad stołem. Czkał ohydnie.

— Kochałem ja kiedyś panienkę… hoho, już bardzo dawno: jeszcze nie było wtedy studni Neptuna. Mówię do niej, a było wieczorem i stałem pod jej oknem: — Chodź do mnie, będzie ci dobrze u mnie, chodź, gołąbko moja przeczysta. (Morderca wznosił do

góry prawicę ciężką i pokrwawioną). A ona śmieje się i prawi: — Przynieś mi księżyc.

O głupi, głupi, obiecałem, że przyniosę.

Noc była właśnie miesięczna. Przyczaiłem się za węgłem koło drzewa i tak rzekę do siebie: — Jak się obniży to złote cacko ku ziemi i zawadzi rogiem o gałęzie, to wdrapię się na drzewo i porwę je. Czekam, patrzę, ale nic. Wreszcie osunęło się, zaczepiając żółtym rogiem o wierzchołek drzewa — aż liście zadrżały. Wdrapuję się na drzewo, wyciągam rękę a tu smyk! Poleciał ścierwo do góry.

Idę pod okno i powiadam: — Gołąbko moja najśliczniejsza, uciekł mi księżyc, jakże go dostać? Chodź do mnie. Dam ci łańcuch złoty i purpury fenickiej… pójdź! A ona wybuchła śmiechem głośnym, aż zadźwięczały zausznice srebrne i mówi:

— Daj mi księżyc.

Zrobiłem sieć wielką i chodziłem po nocy, aby go złapać. Zawsze mi uciekł. Wchodziłem na dachy domów i czatowałem.

Pewnej nocy poszczęściło mi się: Zarzuciłem sieć: wpadł; szarpał się jak ryba w okach sieci, mocny był.

Ściągnąłem go oburącz i niosę.

— Otwórz okno, gołąbko, niosęć księżyc.

Otworzyła i zaczęła klaskać w dłonie z uciechy.

Ale nagle szarpnął mi się łotr i wyskoczył. Myślałem, że mi pęknie serce. Porwałem się i za nim, za nim. Oślepił mnie blask. Patrzę, a tu leci tuż nad głową moje nieszczęście.

Idę pod okno i płaczę: — Gołąbko moja okrutna, nie sposób złapać księżyca: mocny on i zwinny. Dam ci tkaniny złotej i adamaszku i mory kosztownej i manele lśniące jak twoje oczy… pójdź!

Odwróciła się tyłem, a potem narysowała małym, różowym paluszkiem księżyc na szybie i znikła.

Wyciąłem gałąź z jałowca i zrobiłem wędkę. Nocami siadywałem nad rzeką, czekając do wschodu księżyca. Gdy wzeszedł i utopił się w wodzie, zarzucałem wędkę z przyczepionym do haczyka promieniem jej włosów. Ale napróżno: podpłynął i odpłynął. Rzucałem się wpław, ale kiedy go już prawie miałem w ręku, zawsze śmignął do nieba. O głupi, głupi!

Warzyłem zioła czarnoksięskie, ale wszystko darmo; radziłem się czarownic i wróżek. Nocy pewnej, a było cicho tak, że słyszałem, jak ryby się pluszcza, wyjąłem sztylet z za pasa i wyciąłem nim własne serce. Ciepłe było i drżało mi w dłoniach. Nadziałem je na haczyk i zarzuciłem. Podpłynął księżyc, przywarł i zaczął ssać. Widziałem, jako z żółtego stał się różowy, po brzegach splamiony krwią. Ostatkiem sił wyciągnąłem go na brzeg i przycisnąłem do serca. Świtało, kiedym się dowlókł pod jej okno. Wołałem na kolanach: — Gołąbko, pójdź do

mnie, niosę dar!

Nikt nie odpowiadał i głucho było naokół.

— I co się z nią stało? — spytał Osiełek.

— Co się stało? Uciekła z fałszywym zakonnikiem. — Patrz! — krzyknął były kochanek — patrz tutaj!

Morderca rozdarł koszulę i przerażony Osiełek ujrzał w miejscu, pod którem bije serce, pusty, czarny otwór.

Łowca księżyca wybuchnął cynicznym, charkotliwym śmiechem:

— Panie Kalwus, jeszcze dwie buteleczki!

Ale tu zbrodzień w czerwonej koszuli rzygnął, aż zakołysała się lampa i — runął pod stół.

Osiełek tracił przytomność. Chwilami zdawało mu się, że nad barjerą szynkwasu pochyla się cień Softa w bladym kołnierzyku i szepce coś Kalwusowi na ucho; Kalwus przewraca czerwonemi oczami i wskazuje na niego palcem; to znowu, że do gospody wchodzi Wulkan z siwą, sztuczną brodą, ma zgolone brwi i niesie na ręku uduszonego noworodka. Czy pan nie jest agentem policyjnym? Naftowa lampa zamienia się w klatkę z kanarkiem i huśta się od ściany do ściany. Kalwus pochyla bydlęcą głowę nad kontuarem, olbrzymim rzeźnickim nożem odkrawa nogę noworodka i zjada. Tak, tak… ślub za tydzień…

Osiełek zwiesił głowę nad stolikiem i zasnął.

Gdy się obudził, w gospodzie było szaro i pusto. Kalwus w białym fartuchu, z zakasanemi rękawami zamiatał izbę. Lampa dogasała. W mdlącym blasku świtu czerniły się na półkach butelki, równym rzędem jak czarne klawisze; z etykiet wynurzały się litery.

Pić! — wybełkotał Osiełek. Kalwus przyniósł mu pełną szklankę jakiegoś cuchnącego alkoholu. Wypił jednym haustem: Pociemniało mu w oczach, zabolały uszy, zdrętwiały członki. Zasnął.

Było już dobre południe, gdy się przebudził. W obu izbach kupili się goście. Marynarz grał na okarynie i tańczył na jednej nodze. Kalwus puszczał młynka dużemi palcami.

Osiełek podniósł się od stolika z ledwością. Raziło go światło.

— Ile ja panu płacę, panie Kalwus?

— Nic.

— Dlaczego?

— Zapłacili mordercy.

*

Dopiero na ulicy zauważył Osiełek, że jest ubrany w cudzy, podarty płaszcz i na głowie zamiast zielonego melonika ma czarny kapelusz ozdobiony piórem koguciem. Osiełek szedł do swej fabryki. Ulicznicy wygwizdywali go, pokazując język. Musiał naprawdę wyglądać nędznie. Miał obszarpane nogawki spodni i zabłocone buty,

język spieczony i sztywny jak drewno. Na rogu placu zatoczył się i omal nie upadł.

Zatrzymując się przed zwierciadłem jakiegoś balwierza, zapłakał, albowiem nie mógł się poznać: Tak zmieniła go podłość ludzka: kogucie pióro chwiało się czerwoną kitą, czarny kapelusz zesuwał się pomiętemi skrzydłami na czoło, rude włoski sterczały na brodzie, jak przecinki pisane czerwonym atramentem. Laska — gdzie laska? Laska ze złotą gałką? Osiełek zaczął rozpaczliwie przebierać palcami prawej dłoni, jakby w nadziei, że uda mu się wyciągnąć z powietrza zgubioną laskę.

Napróżno.

W pobliżu fabryki zaczepił go osobnik udrapowany w niebieską pelerynę i złote okulary, o nosie czerwoniuchnym, pełnym fałszywej poczciwości; osobnik schwycił Osiełka za guzik płaszcza i, pochylając się, szepnął pulchnemi wargami: — Czy pan by nie kupił kielicha liturgicznego? Osłupiały Osiełek cofnął się wtył.

— Co to znaczy liturgicznego?

— Takiego do celebrowania Mszy świętej.

— Nie mam czasu, panie.

— Niech pan kupi, arcydzieło sztuki, złoto i zielona emalja, kielich świeżutki: ukradłem go dziś w nocy.

— To pan jest złodziejem? — wyrzekł Osiełek i spojrzał na podejrzanego osobnika z miną jaknajstaranniej uczciwą.

— Nie, panie, jestem świętokradcą — odparł człowiek w złotych okularach i oddalił się, napuszając dumne fałdy niebieskiej peleryny.

Osiełka nie chciano wpuścić do fabryki. Portjer nie poznał go i nawymyślał mu od przybłędów.

— Jestem, durniu, właścicielem tego zakładu.

— Phi, znamy takich właścicieli. Wczoraj mieliśmy trzech panów i każdy przedstawiał się jako Porfirjon Osiełek.

— Wpuść mnie, ośle, bo cię wydalę ze służby!

— Tylko przedewszystkiem bez tego tonu. Do mnie mówi się: panie naczelny, dożywotni portjerze.

Wreszcie wpuszczono go dzięki protekcji tłumacza na język włoski.

Padł w gabinecie dyrektora na sofę, zażądał wody, wybełkotał do zebranych kancelistów: — Panowie, ja, Porfirjon Osiełek żenię się za tydzień — i zemdlał.

— Należałoby postawić bańki — oświadczył tłumacz na język włoski, wylewając na głowę Osiełka karafkę wody.

Lekarz fabryczny skonstantował zatrucie alkoholem.

Dopiero pod wieczór udało się przyprowadzić Porfirjona do względnej przytomności. Zawinięto mu głowę w mokry ręcznik, usunięto półkoszulek, jako przeszkadzający w procesie oddychania,

umyto przy okazji nogi i skradziono portfel.

Osiełek poczuł się lepiej i postanowił zrobić przegląd fabryki.

W pierwszej sali paliło się na podłodze wielkie ognisko, a nad niem wisiał miedziany kocioł, gdzie warzyły się związki chemiczne z których wyrabiano owe sztuczne nosy. Przy kotle drzemał robotnik, mieszając roztwór bukowem wiosłem. W powietrzu kłębiła się para schlapana miejscami niespokojną farbą ognia.

Robotnik nie zwrócił na Osiełka najmniejszej uwagi; leniwo kręcił wiosłem i chrapał. W następnej sali gotowano poncz w kotle dużo większej objętości. Przyrządzał go mistrz Horacy, kucharz fabryczny, trzymający w prawem ręku platerowaną, apetyczną łyżkę. Był to rzewny staruszek z koźlą bródką, zapatrzony w niepomiernem zdziwieniu na swój nos — podobny ogórkowi, który wpadł przez pomyłkę do kubła z czerwoną farbą.

Mistrz Horacy zanurzał łyżkę w czeluściach naczynia i smakował poncz różowym jak zorza końcem języka.

Przed kotłem, na długiej ławie, w której nogach były wycięte serca, siedziało stu pięćdziesięciu robotników. Na brzuchach okrągłych, jak pełnia księżyca, opierali dłonie wymyte starannie, i wolno pochylali ku sobie uśmiechnięte twarze, cicho gwarząc o goryczy pracy i słodkości gotującego się ponczu. Pierwszy w rzędzie spoczywał siwobrody mistrz Asinus i wróżył na palcach, czy poncz ugotuje się za kwadrans, czy za dziesięć minut.

Odwrócony tyłem do robotników, mistrz Horacy wznosił ramiona do góry, mrucząc zaklęcia i dorzucając drew pod miedziany kocioł:

— *Necrophorus vespillo, dynastes Hercules, periplaneta orientalis, calandra*.

— Calandra — zaśpiewali chórem robotnicy, odwracając ku sobie zadowolone oblicza.

Kucharz dorzucał do napoju gałek muszkatułowych, imbieru, goździków, rozmarynu, rumianku i jeszcze pewnej ingredjencji, której nazwy nie wolno było wymawiać pod karą wydalenia ze służby. Chwilami odwracał się na piętach ku siedzącym i, wiosłując nad głową ramionami, uśmiechał się nader tajemniczo.

Podrygujące płomienie otulały zawieszony kocioł naokół i Osiełkowi zdało się, że widzi przed sobą olbrzymią głowę miedzianej niewiasty w kołnierzu z czerwonego futra. Dojrzał nawet zarysy oczu.

— Lampyris splendidula, polyphylla fullo, copris, lunaris, *pasikonik*.

Zaklęcie „na pasikonika” zakończyło inkanntację. Kucharz opuścił ramiona, odwrócił się ku zebranym i wygłosił dłuższe przemówienie, w którem podniósł niedocenioną wartość ponczu dla rytmiki i wydajności pracy. Siwobrody mistrz Asinus odpowiedział

krótko, ale dobitnie i tak skończył powstawszy:

— Opiekunie wieczysty kotła miedzianego, gdzie warzy się ingredjencja o nazwie, której nie wolno wymawiać śmiertelnym, spójrz na sługi twoje łaknące i nasyć je zdrojem ponczu doskonałego.

— Doskonałego — powtórzyło stu pięćdziesięciu robotników, wysuwając pożądliwie sto pięćdziesiąt języków podobnych czerwonym płomykom ognia.

— Pijmy tedy na chwałę pana Osiełkową.

Osiełek poprawił ręcznik na głowie i skrył się w kącie.

— Ładnie się bawią w tej fabryce! — pomyślał.

Teraz, z za kotła wyszło siedemdziesięciu pięciu lokajów w czerwonych frakach z połami wyciętemi nakształt skrzydeł papugi–kardynała. Na tacach z chińskiej laki nieśli stągiewki z zielonego szkła, zdobne w ucha, na których były wyrzeźbione koniki morskie. Szli równym rzędem, podnosząc stopy równocześnie i miarowo.

Skłonili karki przed siedzącymi i po wręczeniu stągiewek oddalili się na dawne miejsce.

Mistrz Horacy rozlewał napój drżącą łyżką, pulchniejąc w uśmiechu, który spływał, aż po najniższe włosy koźlej bródki; i wreszcie, gdy każdy biesiadnik poczuł w duszy roztkliwiające ciepło i woń korzenną, mistrz Horacy wrócił na swoje podjum przed kotłem, wzniósł wysoko ramiona, aż w kłębach pary rozpłynęły się mu palce, jak dłonie olbrzyma w obłokach, i w takiej pozycji zastygnął.

Robotnicy pili poncz, cmokając, zanurzali w nim nosy spiczaste i różowe i pochylali się ku sobie w zadowoleniu porozumiewawczem.

W ogromnym hallu fabrycznym słychać było tylko mlaskanie języków i łomot serca pana Osiełka, który przyglądał się temu wszystkiemu przerażony.

Serca wycięte w nogach ławy napełniały się powoli niebieskiem powietrzem wieczoru. Osiełek usuwał się coraz dalej i dalej, w mrok, nie chcąc być poznanym i wkońcu prześliznął się do sali poprzedniej.

Widział zdała głowy, pochylające się, to podnoszące i krwistą od ognia bródkę mistrza Horacego. Potem ława odwróciła się w jego stronę, robotnicy potłukli stągiewki i pokazali na niego palcem, śpiewając:

— Myśmy wiedzieli, śliczny panie Porfirjonie, o pańskiej obecności… aha, my wiemy o wszystkiem.

Nagle wrzasnął pan Osiełek i czarne brwi podskoczyły mu do góry z przestrachu: bo robotnicy jeszcze raz wskazali na niego palcem, poczem, skłaniając ku sobie twarze w szklistym uśmiechu, odjęli sobie nosy i schowali je do tekturowych pudełeczek. Osiełek drgnął i rzucił się pędem ku wyjściu; gmatwał się po korytarzach i salach, przewrócił się kilka razy, aż wreszcie wybiegł do bramy, gdzie z wykrzywionej rurki tryskał, dychawiczny, gazowy płomień. Portjer spojrzał na niego

z pogardą, wykrzywiając ironicznie gębę pod adresem ręcznika na głowie:

— To ci dopiero maharadża, phy!

Porfirjon rwał naprzód jak rumaki Neptuna, wpadał na przechodniów, tratował małe dzieci; krew mu się puściła nosem.

Wreszcie po kwadransie biegu spadł jak meteor w zaułek, przylegający do placu Kuglarzy. Ukrył się w bramie jakiegoś domu, gdzie leżało pełno porozrzucanych skorup od jaj, i zaczął się uspokajać metodycznie; ale napróżno: ciągle, uparcie właziło mu w oczy sto pięćdziesiąt czarnych trójkątów.

*

Po wyjściu na ulicę dostał konwulsji, zbliżała się albowiem pora noktambulicznego ataku. Osiełek rzucił się nawznak i strzykając krwawą pianą, tłukł rękoma o kamienie chodnika. Straszny to był widok: ręcznik bielał nakształt arabskiego burnusa, z nogawek spodni wypłynęły tasiemki niewiadomego pochodzenia, źrenice znikły, widać było tylko białka oczu podobne do skorup od jaj.

Tłum współczujących zebrał się wokamgnieniu:

— Biedny człowiek.

— Patrzcie, jak on cierpi.

— Twierdzę, że to choroba Św. Medarda.

— Św. Medard to blaga.

— Biedny człowiek.

— To straszne.

— Nie bójcie się państwo, to po trzech dniach przechodzi.

— Albo po trzech tygodniach.

— Niebożątko! — łkała przekupka, handlująca wonnościami, ocierając nos rękawem. — Zupełnie podobny do mego Emmanuela, który był tapicerem.

Tu zerwał się pan Osiełek na równe nogi i kładąc rękę na sercu:

— Precz, tłumie! — krzyknął. — Jestem niepodobny do nikogo, jestem sam w sobie śliczny pan Osiełek jako taki. To mówiąc, przebił się przez osłupiały tłum i oddał noktambulizmowi. Przedewszystkiem skonstatował, że w podejrzanem ubraniu podróżować nie wypada, a że pasaż Mendelsona był już od godziny zamknięty, postanowił zdobyć elegancki strój na sposób, do którego policja owego miasta odnosiła się nader nieprzychylnie.

— Warjat! — krzyczano z tłumu.

Nie zwracał na to uwagi, machnął pogardliwie ręką i wyszedł na plac Kuglarzy. Właśnie przed kramami, gdzie sprzedawano ziółka lecznicze, przechadzał się na pałąkowatych nogach kaszlący starowina, wsparty na lasce nowiuteńkiej i ozdobionej fontaziem z

czerwonej włóczki. Osiełek skłonił się i poprosił nad wyraz uprzejmie:

— Czy nie mógłby pan, dobry staruszku, pożyczyć mi laski na jedną chwilę?

— A poco?

— Widzi pan chcę pokazać swojej córeczce konstellację zwaną Grzywą Centaura.

— Niby jakiej córeczce?

— W tej chwili właśnie jej niema, ale zaraz nadejdzie.

Naiwny staruszek zakaszlał i wręczył Osiełkowi laskę z czerwoną włóczką. Osiełek zadarł głowę dogóry; zdawał się w głębokiem zamyśleniu szukać gwiazdozbioru końcem laski.

— Oho, dobry staruszku, Grzywa Centaura przesunęła się na ulicę Szarlatanów.

I Osiełek, skłoniwszy się naiwnemu panu, uciekł, wymachując laską.

Na wspomnianej ulicy kupiły się ogromne tłumy: wrzeszczały kobiety, mdlały dziewice, gwizdali na brudnych palcach złodziejaszkowie: Płonął albowiem dom czarnoksiężnika Indiavolato.

Płomienie kwitły w powietrzu na podobieństwo krzaków gorejących. Osiełek rzucił się w ogień z odwagą tylko sobie właściwą; wpadł do jakiegoś pokoju, rozbił szafę i wyciągnął z niej nowy, czarny płaszcz, cylinder i szal jedwabny; poczem wyskoczył na ulicę nie dlatego, żeby się lękał śmierci, tylko dlatego, że w płonącym pokoju ujrzał zawieszony nad szafą portret Softa. Tłum zawył na cześć Osiełka entuzjastycznie. Kobiety pokazywały go dzieciom. Porfirjon, korzystając z zamieszania, ubrał się w płaszcz i włożył cylinder. Gdyby nie podarte trzewiki i wystrzępione nogawice spodni, wyglądałby niczem ekscelencja Claudel.

Pozostawały do złupienia tylko lakierowane kamasze. Poszedł tedy do szewca Ptolemeusza, którego słynna pracownia mieściła się na samym rogu ulicy Szarlatanów, tuż obok monumentu Cassini'ego. Zastukał do drzwi. Cicho. Po chwili jednak drzwi się odemknęły troszeczkę i pan Ptolemeusz wypchnął na świat boży połowę dziobatego nosa.

— Pan co?

— Chciałbym lakierowane kamasze.

— Proszę, tylko cicho: żona śpi. Szewc przeprowadził Osiełka przez długi korytarz i po chwili znaleźli się w sklepie.

— Pan ma jaki numer?

— Szczęśliwy.

Osiełek zdjął stare trzewiki, cisnął je pod kontuar, wśliznął podane lakiery i znowu dostał konwulsji. Rzężąc nieprzytomnie, wymachiwał laską z czerwonym fontaziem, rzucając się po sklepie, jak człowiek cierpiący na boleść Św. Medarda.

— Co panu jest, panie w cylindrze.

— Noktambulizm, panie, noktambulizm.

— Może bańki?

— Nie, panie, tu bańki nie przydadzą się na nic.

— A może pan wyjdzie na świeże powietrze?

— O tak, to mnie uratuje.

I Osiełek, zwijając swoje biedne członki w kontorsjach straszliwej choroby, wybiegł na ulicę.

Dopiero teraz mógł poważnie pomyśleć o noktambulicznym ataku. Przede wszystkiem urżnął się w austerji pewnej, której właściciel był zajadłym konkurentem Kalwusa i wysyłał co noc na niego zbirów z ogromnemi nożami. Pił całą godzinę oparty o barjerę szynkwasu, głaskał się w uda, kiwał cylindrem i przy ostatnim kieliszku zrobiło mu się tak jasno, jakby mu w sercu zakwitła konstellacja, zwana od astronomów Grzywą Centaura.

Wyszedł, nie płacąc rachunku. Pozwalały mu na to: cylinder i podstawa ambasadora. Idąc ulicą, rozglądał się na wszystkie strony, wywijał laseczką, stawiał drobne, frywolne kroki; aż mówiły przechodzące panie:

— Ten pan przechadza się z właściwą sobie dezynwolturą.

OSIEŁEK ZDRADZA EPIFANIĘ Z HILDEGARDĄ W „WIEŻY LUNATYKÓW”.

Wreszcie po półgodzinnym marszu stanął pod wieżą Lunatyków. A była to wieża pięćset sążni wysoka, z wewnątrz i z zewnątrz oklejona ogłoszeniami astrologa Wulkana, na których znakomity akuszer trzepoce brwiami na portrecie wykonanym sangwiną. Na pierwszem piętrze kwitły nasturcje w zielonych korytkach, hodowane białą dłonią córki kustosza wieży, a ta była piękna bardzo.

Osiełek zadarł głowę do góry i zaśpiewał, przytrzymując cylinder:

— Panno Hildegardo!

Otworzyło się okienko, zatrzepotała dłoń, rozsuwająca firankę — biała jak synogarlica.

— Panno Hildegardo, to ja, Osiełek.

— Nie poznałabym pana.

— Nie dziwię się: przechodzę właśnie atak noktambulizmu. Niech pani otworzy.

Zamknęło się okienko, zasunęły firanki, Osiełek usłyszał kroki, trajkoczące po schodach. Potem otwarła się furtka gotycka, zalśniła latarka ze świeczką łojową. Na progu zakołysała się Hildegarda. Była ubrana w tunikę z hjacyntu, spiętą tuż przy piersiach szarfą koloru gołębia różowego.

— Proszę do środka.

Wchodzili po schodach, pnących się jak powój, spiralnie.

Mieszkanie kustosza wieży składało się z jednego pokoju, pośród którego jaśniał stół z białego modrzewia, otoczony krzesłami wystruganemi z tegoż wątku; na poręczach krzeseł podrygiwały ogonki królików, malowanych farbą srebrną.

Hildegarda postawiła latarkę na stole. Usiedli.

— Czemu pan taki zamyślony, panie Osiełek?

— Żenię się, panno Hildegardo.

— Z kim?

— Z Epifanją Heksenszus i poprosiłbym panią o wodę.

Podała mu wody w kubku z lipowego drzewa. Odetchnął.

— Chciałbym wejść na wieżę, panno Hildegardo.

— A poco, panie Osiełek?

— Noktambulizm.

Wspinali się po schodach do północy. Na szczycie wiatr zdmuchnął latarkę. Staroświecki mechanizm wieżowego zegara wydzwonił godzinę dwunastą.

Hildegarda siedziała na ławce. Osiełek stał z rozłożonemi ramionami.

Tak mówił:

— O miasto dzieciobójców, astrologów i szarlatanów, o domie, wszeteczeństwa pełen, pozdrawiam cię pozdrowieniem trzykrotnem; o miasto kuglarzy, lunatyków i dziewczyn z ponsowemi wstążkami, śpiewam cię pieśnią pochwalną; o miasto duszonych noworodków, dziewic brzemiennych i świętokradców, przeklinam cię trzykrotnem przekleństwem. Selah.

I przy ostatnich słowach Osiełek wstrząsnął ramionami. Ogniste miał palce od łuny bijącej stamtąd, gdzie płonął dom czarnoksiężnika Indiavolaty. Hildegarda patrzyła na Osiełka w zachwycie: tak pięknego nie widziała jeszcze.

Było prawie widno. Tańczyły nad miastem płomyki ognia, podobne strzępom purpury królewskiej, którą wściekły tłum podrze na rynku.

Osiełek usiadł, zdjął cylinder i głosem jednego z dwunastu paladynów zaproponował Hildegardzie partję szachów.

— Panie Osiełek, przecież nie mamy szachów.

— Nic nie szkodzi.

Przysunął policzek ku policzkowi Hildegardy. Zadrżała, poprawiając różową szarfę.

— Mamy szachy: oto wieża, pani jest królową, ja królem, a niebo…

Przygarnął ją mocno ku sobie.

Nie broniła się…

„I tak trwali” do świtu w blaskach dogorywającego domu, skamieniali i nieruchomi jak drewniane figurki.

Wisiał nad nimi księżyc z mosiądzu, odlany z polecenia burmistrza przez bardzo podłego rzeźbiarza i zawieszony na niebie natychmiast po wypadku, którego bohaterem był morderca z Pod karpia.

*

Niewiadomo, co działo się ze ślicznym panem Osiełkiem w czasach onych, gdy wypełniały się dni i miał pojąć za żonę Epifanję zezowatą. Tylko czasem nocami widziano na murach miasta jakiś cień w cylindrze i płaszczu, wymachujący laską z fontaziem, w dłoni o palcach smukłych, spektralnych.

I stało się, że w noc, poprzedzającą zaślubiny, przechadzał się Osiełek tam i sam po placu Kuglarzy, niezupełnie trzeźwy, w cylindrze zesuniętym na tył głowy i puszczał laską młynka zwanego „piekielnym”.

Wtem jęknął ktoś za nim i warknął przekleństwem tak strasznem, że zbledli nawet niektórzy członkowie Klubu

świętokradców, zgromadzeni dokoła buchającego ogniska. Znudzony Osiełek odwrócił się i ujrzał osobnika, który miał wygląd obłąkanego nędzarza i wściekliznę w zapijaczonych ślepiach. Na prawym policzku krwawiła pręga od laski pana Osiełka.

— Jak śmiałeś mnie uderzyć, niedonoszony bękarcie, pomiocie djabli i wszo centaura! — wrzasnął nieznajomy.

— Czy pan chce, żebym pana spoliczkował?

Słowa te wyrzekł Osiełek, wspinając się na palcach i poprawiając cylinder. Nieznajomy człowiek, widocznie biedny jakiś włóczęga, miał na głowie łupinę od arbuza.

— Pan mnie spoliczkuje? Ja cię zabiję, rakarzu, ścierwo przegniłe, napletku Apollina, jeśli piśniesz jeszcze jedno słowo!

Tu jednak nie zdzierżył Osiełek i trzasnął w gębę impertynenta. Ubogi człowiek runął na kamienie, dysząc ciężko i rozgniatając łupinę od arbuza.

Strasznie wyglądał: wyleniały płaszcz, odznaczający się jakąś barwą, chyba w tych czasach, kiedy jeszcze nie było ani placu Kuglarzy ani wieży Lunatyków, rozlewał się po członkach wychudłych, jak atrament do podpisywania wyroków śmierci. Szyję miał cienką i niezmiernie długą, na której końcu zwieszała się bezwładnie i bezsensownie głowa maleńka, łysa, kształtem czaszki świadcząca o zidjoceniu przedwczesnem i kompletnem; twarz przecinał nos osadzony niesymetrycznie, zakrzywionym końcem sięgający górnej wargi. Z pod płaszcza wyciekały nogi chude, niepotrzebne, okryte spodniami w czarno-białą kratkę.

Na nogach dźwigał pantofle; odwieczne jakieś, ponieważ na przyszwach rosły drzewne grzyby. I leżał tak z rozkrzyżowanemi ramionami; w pyle ulicznym; szamotały się palce krótkie, nieinteligientne, pełne plam atramentowych.

Znudzony Osiełek pochylił się nad nieznajomym i spostrzegł na bruku całą plikę rozsypanych kart. Podniósł, przydeptując niechcący brzuch omdlałego nieszczęśliwca. Nie karty, ale kolorowe obrazki; obrazki, o ile mógł wywnioskować przy niespokojnem świetle ogniska, wykonane czarnym i czerwonym tuszem chińskim. Przyjrzał się uważnie, rozszerzając oczy ze zdziwienia. Wypadła mu laska; czerwony fontaź — dyzynteryjna niteczka krwi w blasku ognia.

Osiełek rozłożył obrazki w kształcie wachlarza i patrzał: Na pierwszym zobaczył siebie w chwili, gdy kupuje trąbkę w sklepie Bogumiła Różdżki; Myrmidon był oddany wybornie z oczami nalanemi czerwonym tuszem; w kącie sklepu stała wiolonczela o czarnych, w dece wygiętych esach. Drugi rysunek wyobrażał salę tortur z czerwonym szefem policji i zapłakanemi oczami Softa. Na trzecim Osiełek ujrzał znowu siebie, gdy recytuje Homera przed Epifanją, na piersiach której polata motyl z czerwonej emalji.

Na innym była wystawiona uczta; nad głowami biesiadników bujał się kanarek tak szalenie, że klatka była wyrysowana dopiero na obrazku następnym, który bardzo udatnie wyobrażał gospodę Pod karpiem. Osiełek pił wino z cynowego kubka, a na kubku grzmiał Sąd Ostateczny. Jedynie morderca z bandażem na gębie był wyrysowany kiepsko. Potem był dom burmistrza i lwy ulane z czarnego srebra; potem Osiełek uciekający przed Softem i cień jakiegoś czworonoga, kłapiącego wielkiemi uszami na ścianie domu; a dalej straszliwa chwila, w której okazuje się naocznie, że kanapa pani Heksenszus konserwowała duszone bliźnięta. Następny obrazek wyobrażał pijaństwo zrozpaczonego Osiełka i tkliwe serca morderców, którzy płacą rachunki za ludzi melancholijnych; inny fabrykę sztucznych nosów i co z tego wynikło; jeszcze inny zgubny atak noktambulizmu z dopiskiem „św. Medard to blaga". Potem następowała karta w całości zalana czerwonym tuszem i napis „Pożar domu czarnoksiężnika Indiavolaty". Dalej była wieża Lunatyków oklejona portretami astrologa Wulkana i na jej szczycie Osiełek deklamujący; nad wieżą wykrzywiały się obrzydliwym charakterem wypisane słowa „Partja szachów, całują się do siódmej rano". Wyraz „szachów" był napisany ze zdecydowanem zapoznaniem ortografji. Przedostatni obrazek wystawiał osiełka–zwierzę, trzymającego w mordzie laskę trzcinową o gałce nakształt Osiełka z wyścibionym jęzorem.

Wreszcie na ostatnim obrazku leżał człowiek z rozpostartemi na bruku ramionami, łysy jak kurze jaje; po twarzy spływał mu nos długi, żałosny; chude ciało okrywał płaszcz barwy atramentu, którym podpisuje się wyroki śmierci; z pod płaszcza wyciekały nogi chude, marionetkowe, niepotrzebne.

Osiełek wstrząsnął się z podziwu, tak gwałtownie, że spadł mu cylinder i potoczył się w stronę rynsztoka: ostatni obrazek dawał najzupełniej wierny portret człowieka dyszącego na bruku; czerwony tusz pachniał gorzką, zepsutą krwią.

— Panie, cóż to znaczy do ciężkiej cholery! — wrzasnął Osiełek, kopiąc nieznajomego w lędźwie.

Cisnął obrazki wściekły: śmignęły, załopotały na podobieństwo czarnych i czerwonych ptaków; pożar domu czarnoksiężnika Indiavolaty zafurczał nad ogniskiem świętokradców i spłonął.

Nieznajomy człowiek otworzył oczy wielkie, obrzękłe od alkoholu i smutku, spojrzał na Osiełka nieprzytomnie i ryknął strasznym, czarnym szlochem; trząsł mu się brzuch zapadły, aż rozpiął się płaszcz i wyjrzały strzępy koszuli i szelki nieprawdopodobnie zużyte, astralne.

Osiełek uległ złudzeniu, że się wzrusza.

— Czemu szlochasz, melancholijna kreaturo?

Symbol ubóstwa rozwarł oczy jeszcze szerzej, mimiką twarzy

oddając ból z wielką precyzją.

— Jam jest autor.

Osiełek opuścił lewą brew na znak współczucia, wspiął się na palcach, poczem podniósł laskę z fontaziem i cylinder, którym przykrył czaszkę gestem ambasadorskim.

— No to cóż z tego? ja też mogę.

— Co rzekłeś, wszo Centaura?

Obity człowiek zerwał się na krzywe nogi z godnym pochwały zamiarem uduszenia Osiełka; ale Osiełek cofnął się wtył błyskawicznie i stanął w pozycji zasadniczej; laska zaostrzyła się jak floret hiszpański.

— Na mój honor, jeszcze jedno słowo, a naszpikuję cię tą laską jak zezowatego zająca!

Ale tu człowiek o szelkach astralnych padł na kolana przed Osiełkiem i obejmując mu łydki błagalnie, począł tarzać łysą głowę w prochu ulicznym.

Świętokradcy zaprzestali swych machinacyj, patrząc na tę scenę w niemym podziwie; warczał ogień.

— O przebacz mi, śliczny, bardzo śliczny panie Osiełek, ja pana tak kocham!

— No to i cóż?

— Jakto cóż? Ja pana miłuję nad życie i nad miłość i nad śmierć i nad alkohol. O śliczny, bardzo śliczny panie Osiełek. Spłodziłem pana w noc bezsenną pod drzwiami knajpy, której właściciel miał serce niedobre i wyrzucił mnie jak psa — jak psa, panie Osiełek. Spłodziłem pana sam z sobą, czy pan to rozumie? O, jakiż ból musiałem uczuwać, gdy pan wychodził z moich biódr pulchny i śpiewający.

— Ależ, do ciężkiej cholery, cóż mnie to wszystko może obchodzić! Zresztą — mój ojciec Jan Jakób Osiełek spłodził mnie z matką i otruł się natychmiast, jak wiadomo, fioletowym inkaustem.

— To nieprawda, niech pan w to nie wierzy, ja panu to mówię; pan jest moim synem niezaprzeczalnym, jedynym, ostatnim, śliczny, bardzo śliczny panie Osiełek. O, niech pan mną nie pogardza, ja pana tak kocham. Jeśli pan chce, będę panu pokazywał sztuki magiczne: to bardzo śmieszne: mysz pod cylindrem, a później niema — co?

Osiełek patrzył z politowaniem na szlochającego człowieka, bijąc go laską w ciemię.

— Panie Osiełek, Porfirjonku serdeczny, niech pan się na mnie nie gniewa, niech pan będzie dobry dla mnie, o tak!

Było to w momencie, gdy Osiełek lżej puknął laską.

— Jabym dla pana wszystko, jak kobieta, ja żyję tylko dla pana. A chce pan, będę pana psem? Kupimy obrożę i będzie pan mnie prowadził na spacer do zielonego ogrodu; będę służył i będę

szczekał… O tak, hau, hau!

Nieszczęśliwy manjak ryknął szlochem, przypominającym szczekanie buldoga.

— Puść mnie pan do stu djabłów, jestem zajęty noktambulizmem i nie mam czasu na podobne historje. Zresztą wynajmij się pan do teatru, każ sobie mordę ogolić i przestań pan pić marne gatunki wódek; weź pan te ręce!

— O śliczny, nadzwyczajnie śliczny panie Osiełek, niech pan mnie nie odpycha, ja pana tak błagam. A może pan mną pogardza dlatego, że ja jestem autorem, a pan nie? Chce pan, to ja będę Osiełkiem, a pan autorem, zgoda? Nauczę pana, jak się rysuje tuszem i będzie pan robił śliczne obrazki na tekturze od pudełek do czekolady; no, dobrze? o mój, mój Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff. O, takie będzie pan robił obrazki… ale gdzie one są? Zapodziały się, pewnie w kieszeni; niema. Panie Osiełek, pan nie widział? miałem tutaj, o, tutaj.

Manjak grzebał ręką w podartej kieszeni, wyrzucając skórki od chleba i kawałki zbutwiałych sznurków.

— Gdzie moje obrazki, oddajcie moje obrazki! Ja wiem, pan pewnie schował, tak dla żartu, a teraz mi pan odda, nieprawdaż?

Osiełek poprawił cylinder i krzyżując ramiona na piersiach, rzekł z wyrazem obojętnej pogardy:

— Wrzuciłem pańskie obrazki do błota.

Jak pasikonik skoczył dogóry rzekomy ojciec, zakrzywił krótkie palce tuż nad oczami Osiełka; dyszał.

— Gdzie?!

— Do błota.

Zatoczył osłupiałym wzrokiem podejrzany człowiek, zachrypiał głosem, przypominającym skrzypienie suchej wierzby, potem zdjął płaszcz, odpiął spokojnie szelki i obwiesił się na nich na drzewie pewnem; „i rozpuknął się i wnętrzności wypłynęły z niego”.

Przyjechał zaraz galopem konny policjant, wytrysnął kitą ognistą hełmu i rzecze, wskazując na głowę wisielca, czerwoną od blasku, jak wielkanocne jaje:

— Ten kto?

Odpowiedział główny świętokradca:

— Lunatyk.

I oddał się machinacjom.

*

A nazajutrz (o słowo straszne nad wyraz!) wypełniły się dni i pan Osiełek zaślubił Epifanję zezowatą.

Uczta weselna odbyła się w domu Heksenszusów. Panna młoda z blaszaną lilją za gorsetem, w sukni białej ze sztucznego jedwabiu, w

bluzce z błękitnego atłasu, wyglądała jak manekin krawcowej bez patentu; trzęsła się ze wzruszenia silnie, aż pękała czerwona emalja motyla-broszki. Osiełek siedział obok milczący, dostojny, blady; dźwigał na sobie granatowy frak, spodnie czarne-cmentarne, nie zdejmował przy stole rękawiczek; kamizelkę włożył białą, sztuczkową, zapinaną na szklane guziki; mienił się półkoszulek z najlepszej kompozycji szwedzkiej, kupiony w pasażu Mendelsona 2,5 sest. za m. kw.

Kapitan huzarów śmierci przyszedł urżnięty, z orderem Trupiej Czaszki na bezczelnie wywatowanych piersiach; jeżył wąsy wyszwarcowane, ostre jak gwoździe do trumny.

Zadzwonił ostrogami przed Epifanją i złożył w prezencie rewolwer; poczem usiadł na swojem miejscu i zażądał wódki.

Obok pani Tundal, gdzie dawniej siadywał Soft, zostawiono wedle tradycji miejsce okultystycznie puste.

Ze względu na wielką uroczystość ulokowano na stole portret czerwonego szatana wraz z portretem sekretarza Softa w ramach owiniętych krepą. Soft dusił się w sztywnym kołnierzyku, patrząc na świat oczami czerwonemi od łez.

— Pani Heksenszus, niech pani każę sprzątnąć „tego” Softa — zaproponowała pani Tundal, patrząc na portret nieufnie.

— Dlaczego sprzątnąć? Ja szanuję każdego nieboszczyka. Mój Chryzostom…

— Nie wierzę w nieboszczyków — oświadczył Wulkan i, mrugając szybko, rozbujał klatkę z kanarkiem.

— Znowu pan zaczyna, panie Wulkan! — O biedny, biedny Sardanapal.

W przyległym pokoju wyły Heksenszusy, tańcząc taniec wojenny nad trupem nowej ofiary. O biedny, biedny Apollodor.

— Panie Osiełek, może pan pozwoli amuretkę w cieście francuskiem? — rzekła wdowa, sycząc jedwabiem trumiennym.

— Pozwolę truciznę — odparł Osiełek głosem niskim i, błyskając rzędem szklanych guzików jak czarną szpadą, wsypał wielką dozę sody oczyszczonej do kieliszka Epifanji. — Giń, podła!

Ale błękitna Epifanja spełniła puhar z takiem zadowoleniem, jakgdyby Osiełek utoczył do niego własnej krwi.

Przy deserze kapitan usnął, pani Tundal zasłaniała dłonią portret Softa, Osiełek przemyśliwał nad sposobem otrucia swojej żony.

— Zupełnie jak surowa cielęcina — objaśniał tymczasem Wulkan, całując szyje wdowy po wypychaczu ptaków.

— Zupełnie jak surowy kotlet — wtórował Osiełek, wpychając wskazujący palec w szyję Epifanji.

Soft uśmiechał się z portretu fałszywie i zdradzał chęć wyciągnięcia notatnika z kieszeni.

— Najwyraźniej rusza ramionami — szepnęła pani Tundal, wiercąc się na krześle.

— To blaga — rzekł Wulkan i cisnął w Softa mandarynką. Sekretarz przewrócił się z niemiłym, tekturowym trzaskiem.

— Teraz napewno coś się stanie — wybełkotała pani Tundal.

Nic się nie stało, tylko portret sekretarza podniósł się i znieruchomiał w dawnej pozycji.

— Czy mógłbym panią prosić o korniszony?

— Dlaczego, panie Wulkan? — spytała pani Heksenszus.

— Potrzebne mi są koniecznie.

Przyniesiono salaterkę z korniszonami. Wulkan brał je w dwa palce i ze spokojną miną rzucał niemi w portret sekretarza.

— A ja panu mówię, że coś się stanie napewno.

— Nic się nie stanie, znam się na tem.

Portret Softa podnosił się i opadał okultystycznie. Mroczniało.

Na suficie gestykulował rogami olbrzymi, czerwony cień djabła. Tableau.

*

— Co ci jest w oczko, Porfirjonie? — spytała Epifanja w łożnicy małżeńskiej, rozpinając sennym gestem bluzkę z błękitnego atłasu.

— Boli mnie, muszę sobie założyć przepaskę.

— Jak to się dobrze składa: została jedna po ojcu, czarna na gumce.

Osiełek zasłonił sobie prawe oko i, ściągnąwszy z członków swoich „nieszczęsne ochędóstwo”, runął na łoże.

Epifanja spuściła roletę i legła w sukni obok Osiełka. Po chwili jednak zerwała się szybko, włożyła inną suknię, rękawiczki i z krzykiem „to straszne” wśliznęła się pod kołdrę.

Osiełek wyciągał się na łożu spokojnie, podziwiając swój wynalazek z przepaską: Prawem okiem nie widział oblicza Epifanji, które w sercu nazywał poprostu „psią mordą”, a lewem obserwował pająka na suficie.

— Ja tak kocham kwiaty.

Na przeciwległej ścianie wisiały: portret męża pani Heksenszus Chryzostoma Heksenszusa, na którym ten ostatni wypycha kondora pospolitego, obok podobizna Siódmego Heksenszusa, a dalej w równym rzędzie szereg ram pustych, lakierowanych na czarno.

— Co to ma znaczyć? — spytał Osiełek Epifanji, która właśnie zapinała sobie rękawiczkę.

— A, to mama kazała, na wypadek śmierci jakiego maleństwa.

— Aa.

*

Woniały niebieskie kadzidła w kadzielnicach z bronzu, płonęły różowe świece w dłoniach serafinów ostroskrzydłych, lśniła w kącie pokoju waza niebieska. Jak w łożnicy królewskiej. Jak u Wilde'a. Sic.

*

„Lecz o północy grom przyszedł uderzyć": krzyknęła Epifanja, wrzasnęła wdowa, patrząca przez dziurkę od klucza, ryknął Osiełek.

Straszna to była scena: Małżonkowie stali na łożu naprzeciw siebie w pozycji wyczekującej: zagadki nieśmiertelne a nieodgadłe: mąż i niewiasta; Epifanja bez rękawiczek i sukni wybałuszała oczy w przerażeniu doskonałem, Osiełek zasłaniał coś dłonią w okolicy lędźwi, bujając się przy okazji na sprężynach nowego materaca, wdowa mdlała raz po raz…

A była to brodawka wielkości gołębiego jaja, rzewna i straszna.

— To tak, panie Osiełek, to pan to ukrywał przed nami, które jesteśmy kobiety bezbronne i tkliwe! — ryknęła wdowa, wrywając się do łożnicy, jak huragan wydmuchnięty z otyłej gęby Szekspira.

— Co pani pod *tem* rozumie? — spytał Osiełek niedbale, huśtając się na materacu z coraz większem opanowaniem przedmiotu.

(Ja tak kocham kwiaty…)

— Co ja pod *tem* rozumiem? Ot, co ja pod tem rozumiem!

Szalona wdowa zerwała ze ściany portret małżonka i zamierzyła się nim w głowę Porfirjona. (Epifanji zdawało się, że już pęka szkło, głowa przebija tekturę i obrzydliwe oczy ojca wypływają na podłogę). Ale Osiełek oparł lewą dłoń na brodawce jak na głowicy miecza, prawą położył na sercu i rzekł, wspinając się na palcach: — Czy pani sądzi, że to może „pańskiej" córce zaszkodzić?

Porfirjon zawsze używa tej formy w chwilach przełomowych.

— Zaszkodzić? to ją zabije! coś podobnego!

— Pani Heksenszus, niech pani się uspokoi i zawiesi portret, który powinien być pamiątką świętą, a nie narzędziem pracy.

— Nie zawieszę portretu, ja pana zabije tym portretem!

— Dlaczego? Niech pani się zastanowi, za co? Za to, że mam brodawkę? ale jaką brodawkę? niech pani tylko dokładnie popatrzy:

Osiełek uniósł prawą dłoń gestem afrykańskiego Scypjona.

I dopiero teraz szalona wdowa pojęła swój błąd niepomierny. Cofnęła się wtył w niemym podziwie i zawiesiła obraz.

— Panie Osiełek, niech pan wybaczy, jestem kobietą samotną i nie znam świata!

— O tak, nie znamy świata — powtórzyła Epifanja cicho i zeskakując z łóżka, padła na kolana obok matki.

Ale Osiełek uniósł się jeszcze wyżej na palcach, stopą bohatera kopnął materac, aż zatkały sprężyny i rzeki, nie zmieniając pozy:

— Odejdźcie mdłe niewiasty. Wszystko skończone. Na honor, Osiełka nie wali się portretem!

Niewiasty rozpuściły włosy i bijąc się w piersi na znak bólu, chwiały głowami — błagalnice.

— Odejdźcie, a nie patrzcie na członki moje, albowiem jestem nagi.

— Wybacz nam panie, jesteśmy kobiety samotne.

I kobiety wyszły z nisko pochylonemi czołami.

Osiełek ucałował brodawkę, nadelektował się dosyta wazą niebieską i oddał się zamyśleniu. Poczem z powolnością, sobie właściwą, oblókł szaty, włożył mało używany płaszcz wypychacza ptaków, zaopatrzył się w laskę i zielony melonik, i kuchennemi drzwiami wyszedł na gwiazdy. „Kobiety samotne” patrzyły przez okno.

— O, dochodzi do Karpia.

— Tak, tak… widzisz?

— O, już przeszedł Karpia.

— Wymachuje laską.

— To ojca płaszcz.

— Trudno.

— Skręca w ulicę Szarlatanów.

— O, jeszcze widać kapelusz… koło latarni.

*

I odszedł w mrok Porfirjon Osiełek false Hilarjon Gaff i rozpuścił się w ciemnościach jak malutki osiełek z czekolady.

KONIEC.

Warszawa - Tohu - Bohu - Dawno.